



# **KOŃ KTÓRY SKACZE PRZEZ CHMURY**

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

**ERIC ENNO TAMM**

**OPOWIEŚĆ  
O SZPIEGOWSKIEJ MISJI,  
JEDWABNYM SZLAKU  
I POWSTANIU  
WSPÓŁCZESNYCH CHIN**

DIALOG



# KOŃ KTÓRY SKACZE PRZEZ CHMURY

**ERIC ENNO TAMM**

OPOWIEŚĆ  
O SZPIEGOWSKIEJ MISJI,  
PODWAŻNYM SIŁAKU  
I POWSTANIU  
WSPÓŁCZESNYCH CHIN

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

Przełożyła  
Hanna Jankowska



Tytuł oryginału:

THE HORSE THAT LEAPS THROUGH CLOUDS.

A Tale of Espionage, the Silk Road and the Rise of Modern China

Redaktor prowadząca: ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Redakcja i korekta: BERNADETA LEKACZ

Projekt okładki: BARBARA ĆWIK

Zdjęcie na okładce ze zbiorów autora

Skład i łamanie: „ROCH” Wojciech Ochocki

Opracowanie map: JAROSŁAW TALACHA

Copyright © 2011 by Eric Enno Tamm

Copyright © for the Polish translation and edition by Wydawnictwo Akademickie DIALOG, 2014

Wydanie elektroniczne, Warszawa 2014

Przekład książki został dofinansowany przez

Canada Council for the Arts / Conseil des arts du Canada



ISBN e-pub 978-83-8002-078-8

ISBN mobi 978-83-8002-082-5

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks (+48 22) 620 87 03

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

WWW: [www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

# Spis treści

Karta redakcyjna

## EURAZJA

1. Petersburg: tajny agent
2. Azerbejdżan: nagroda Nobla
3. Turkmenistan: strach i odraza

Przypisy

Informacje o wydawnictwie

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# EURAZJA

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna



# PODRÓŻ MANNERHEIMA PRZEZ AZJĘ, 1906-1908



Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# 1. Petersburg: tajny agent

Pośród wszystkich spraw nie ma bardziej tajnych niż te,  
które dotyczą szpiegostwa.

Sun Tzu, *Sztuka wojenna*  
(przekład Roberta Stillera)

Wiosną 1906 roku Joseph Conrad zaczął pisać *Tajnego agenta*. Ta mroczna, satyryczna powieść opisuje zagrożenie fanatyzmem i terrorystyczny zamach bombowy w Londynie. Conrad uchwycił w niej niepokój przełomu wieków – epoki bardzo, jak się wydaje, podobnej do naszej. „Ale co można powiedzieć na akt niszczycielskiej zaciekłości tak absurdalny, że nie da się zrozumieć, wytłumaczyć, pomyśleć niemal – akt po prostu szalony?” – pyta autor<sup>[22]</sup>.

Seria zamachów bombowych i zabójstw – ukuto nowy termin „propaganda czynem” – budziła przerażenie w realnym świecie<sup>[23]</sup>. W samej tylko Rosji w 1906 roku terroryści zastrzelili albo rozerwali bombami na strzępy tysiące urzędników państwowych<sup>[24]</sup>. Terroryzm szybko się szerzył, obejmując cały świat. Do 1913 roku zamordowano sześciu premierów, trzech prezydentów oraz dziesiątki dyplomatów i polityków<sup>[25]</sup>.

Petersburg był pod jednym względem kolebką współczesnego terroryzmu. W 1862 roku młody szwedzki wynalazca Alfred Nobel, którego ojciec działał w Rosji jako znany fabrykant broni, używszy nitrogliceryny, spowodował podwodną eksplozję w kanale blisko petersburskiej fabryki należącej do jego krewnych. Dwa lata później wynalazł dynamit. Materiał ten, stosunkowo bezpieczny i łatwy w użyciu, pod wieloma względami wyrównał szanse: jego „niszczycielska zaciekłość” potrafiła wysadzać królewskie powozy i pałace oraz wywołać powszechną histerię szerzącą się dzięki nowym masowym środkom przekazu – gazetom i telegrafowi. Jeden szokująco niszczycielski akt samotnego fanatyka terroryzował masy.

Tak właśnie postępowała Narodnaja Wola, rosyjska grupa terrorystyczna. W 1880 roku jej członkowie zdetonowali bombę w Pałacu Zimowym, a rok później granat rzucony przez zamachowca urwał nogi Aleksandrowi II, kończąc jego oświecone panowanie. W obliczu narastającej przemocy reakcyjne władze nasiliły brutalne represje wobec robotników, studentów i inteligencji wzywających do społecznych i gospodarczych reform. Wkrótce doszło nawet do tego, że liberałowie finansowali i pochwalali terroryzm<sup>[26]</sup>. Wszystko zaś znalazło kulminację w strajku generalnym i próbie dokonania rewolucji w październiku 1905 roku.

Owej jesieni baron Gustaf Mannerheim, oficer 52. Niżyńskiego Pułku Dragonów, wróciwszy z wojny w Mandżurii, zastał Petersburg „ogarnięty strachem i waśniami”<sup>[27]</sup>. W wieku zaledwie trzydziestu ośmiu lat został niedawno awansowany na stopień pułkownika za męstwo na polu bitwy i spodziewał się, że powierzą mu ambitną misję. Na początku marca wezwano go do siedziby Sztabu Generalnego w Petersburgu. Jest to ogromny neoklasyczny budynek

ukoronowany „Rydwanem Zwycięstwa”. Centralny łuk łączy dwa wygięte skrzydła zdobione śnieżnobiałymi kolumnadami i złożonymi balustradami. Mannerheima powitał generał Fiodor Fiodorowicz Palicyn, szef Sztabu Generalnego, i zapytał, czy gotów byłby wrócić do Azji w tajnej misji wywiadowczej.

Poniżająca klęska zadana Rosji w 1905 roku przez Japonię obnażyła poważne niedociągnięcia wywiadu armii carskiej na wszystkich polach: taktycznym, operacyjnym i strategicznym<sup>[28]</sup>. Rosja w sposób godny ubolewania nie doceniła przeciwnika. Palicyn powołał do życia niezależne sekcje wywiadu i skupił uwagę na „młodych, wojowniczych, energicznych mocarstwach [Azji – przyp. tłum.] żądnych działania i podboju”<sup>[29]</sup>. Modernizacja i rosnąca siła militarna Japonii okazały się zgubne dla Rosji. Teraz Palicyna zaczął niepokoić rozwój Chin.

Przez blisko wiek Rosja i Wielka Brytania brały udział w tak zwanej Wielkiej Grze, walce o utworzenie imperium na Wschodzie. Rosja, łaknąca rynków zbytu i terytoriów, słała swoje wojska na stepy Azji Środkowej, docierając w latach pięćdziesiątych XIX wieku do gór Pamiru, które graniczyły z Indiami. Brytyjczyków przerażała myśl o rosyjskiej inwazji na ich główną kolonię, klejnot korony, choć Rosja – sromotnie pokonana przez Japonię i osłabiona wewnętrznymi zamieszkami – nie mogła sobie pozwolić na rozstrzygające starcie z Wielką Brytanią w tym rejonie świata.

Inna była wszakże sytuacja Chin. Państwo Środka znacznie uwiędło pod panowaniem Mandżurów, canizmie kasty, z której wywodziła się dynastia Qiang. Dwadzieścia lat dekadentckiego stylu życia, bratobójczych waśni i izolacji od zmieniającego się świata osłabiło cesarstwo. Broń i taktyka wojskowa były przestarzałe, wręcz średniowieczne. Większość regionów kraju prawie nie знаła nowoczesnych fabryk, stalowych mostów, kolei żelaznych i telegrafu. Klęski żywiołowe, głód i wewnętrzne bunty jeszcze bardziej nadwężyły potęgę Chin. Pod koniec XIX wieku Japonia i wielkie mocarstwa bez trudu wyszarpywały koncesje handlowe i ustępstwa terytorialne na warunkach upokarzających dla potężnych niegdyś Mandżurów.

Rosyjski Sztab Generalny wyniósł z wojny z Japonią naukę, którą dobrze zapamiętał: kraj azjatycki stosujący zachodnią technologię i metody produkcji przemysłowej potrafił pokonać wielkie europejskie mocarstwo. Palicyn wiedział, że zreformowane Chiny dysponujące kolejami żelaznymi i fabrykami broni mogą stać się niebezpiecznie silne. I rzeczywiście, ośmielone przykładem Japonii zaczęły wdrażać radykalne reformy. Palicyn miał też jednak świadomość, że terytorium Chin graniczące z należącym do Rosji Turkiestanem było słabe pod względem militarnym. W najbardziej wysuniętej na zachód prowincji Sinciang („Nowe dominium”) trwały niepokoje wzniecane przez muzułmanów, stanowiła więc ona łatwy cel rosyjskiego podboju. Wielka Gra przesuwiała się na wschód, generał potrzebował dokładnych informacji wywiadowczych z tamtego terenu. Główne cele tajnej misji przedstawiały się następująco:

- zebrać informacje oraz materiały militarno-statystyczne, zwłaszcza o chińskich prowincjach



za Wielkim Murem;

- ustalić, w jakim stopniu w poszczególnych regionach da się zauważyć najnowsze reformy wprowadzane przez chińskie władze;
- zbadać przygotowania obronne, reformy dotyczące wojska oraz wyszkolenie żołnierzy;
- ustalić, do jakiego stopnia prowincje skolonizowane są przez etnicznych Chińczyków i w jakim zakresie Pekin zreformował lokalne władze;
- ocenić ogólną sytuację i stosunek społeczności lokalnych do polityki władz chińskich, ruchy polityczne w regionach oraz wśród lokalnych plemion zmierzające do samostanowienia, rolę, jaką odgrywa w nich Dalajlama, stosunek do Rosji i Japonii, a także zakres wpływów japońskich we wszystkich działaniach podejmowanych przez władze chińskie;
- zbadać drogę do Kaszgaru, a stamtąd do Lanzhou i Pekinu głównie po to, by ustalić, czy da się wysłać do Lanzhou rosyjską kawalerię i oddzielne jednostki wojskowe<sup>[30]</sup>.

Imponujące zadanie, na które przeznaczono dwa lata, zaskoczyło Mannerheima. „Nie tak łatwo było jednak zdecydować się w niemal jednej chwili na tak długą rozłąkę z cywilizacją. Dopiero co wróciłem przecież z ciężkiej wojennej próby” – pisał <sup>[31]</sup>. Poprosił o czas do namysłu.

\* \* \*

Ciepłego letniego poranka wsiadłem na dworcu w Helsinkach do ekspresu Sibelius. Pociąg włókł się przez brzozowe i sosnowe lasy, aż przekroczył fińską granicę, za którą zaczynał się inny świat. Ruiny Linii Mannerheima ukryte w karelskich lasach ciągnęły się około stu kilometrów w głąb terytorium Rosji. Rejon przygraniczny to mroczny świat korupcji, gangsterskiego kapitalizmu, alkoholizmu, skrajnej nędzy i postsowieckiego upadku przemysłu. Pociąg mijał podupadłe miasta, gdzie z budynków obłaziła farba, rozsypujące się dachy z desek i wiejskie cerkwie. W Karelii rumiane babuszki sprzedają soloną rybę i niepasteryzowane mleko w plastikowych butlach po napojach, a młodsze kobiety sprzedają siebie. „Kiedy sześćdziesiąt lat temu przyszedli tu Finowie, powiedzieli do Rosjan «Ręce do góry!»” – opowiadał mi przyjaciel z Finlandii. „Teraz, gdy przyjeżdżają do Karelii, mówią «Nogi w górę!»”. Opuszczone punkty kontrolne na poboczach i wieże strażnicze przypominały mi o „najokrutniejszej despotii w dziejach świata”, jak określił to Mannerheim<sup>[32]</sup>.

Po pięciu godzinach zieleń i nędza rosyjskiej prowincji ustąpiły miejsca chaosowi przedmieść Petersburga: ogromnym elektrowniom, kominom fabrycznym, wieżom linii przesyłowych, nieczynnym fabrykom, terminalom naftowym i blokom z wielkiej płyty. Wsiadłem z pociągu na Dworcu Ładoskim prosto w duszne powietrze delty Newy. Aleksiej Szkwarow, emerytowany kapitan marynarki wojennej, powitał mnie bez uśmiechu ostrożnym uściskiem dłoni.

– To dla pana – powiedziałem wręczając mu butelkę Marskin Ryyppy, czyli „Napitku Marszałka”, słynnego fińskiego alkoholu, który składa się z okowity doprawionej dżinem

i wermutem. Wyobraziłem sobie, że ten ulubiony trunek marszałka Mannerheima będzie idealnym prezentem dla rosyjskiego marynarza.

– Nie piję – odparł bezceremonialnie.

Instytut Fiński w Petersburgu skontaktował mnie ze Szkwarowem, który miał mi pokazać miasto. Czterdziestosekstoletni Szkwarow miał przystrzyżoną siwiejącą brodę i nienaganny przedziałek. Niezobowiązujący strój – mokasyny, koszulka polo, okulary słoneczne marki Moschino – kontrastował z jego poważnym, niekiedy pryncypialnym zachowaniem. Wychował się w Petersburgu i dwadzieścia jeden lat służył jako inżynier w marynarce wojennej, zanim przeszedł do biznesu. Teraz ten skromny potentat nowej Rosji miał firmę budowlaną, gazetę, restaurację, studio telewizyjne, małe muzeum i wydawnictwo. W wolnym czasie pisał pracę magisterską z historii na Petersburskim Uniwersytecie Państwowym. „Marzyłem o tym od dziecka” – zwierzył mi się. Tematem pracy była służba Mannerheima w armii Imperium Rosyjskiego.

– Mannerheim był Rosjaninem przez pięćdziesiąt jeden lat, prawie całe swoje życie – powiedział Szkwarow, paląc marlboro i zrećźnie prowadząc lśniącego czarnego SUV-a marki Nissan przez chaos petersburskiego ruchu ulicznego. – Lata, które spędził w armii rosyjskiej, są pod wieloma względami kluczem do jego późniejszego życia, ale Finowie nie lubią o tym mówić.

– Rosjanie też nie lubią – wtrąciłem się. – Mannerheim przez większą część XX wieku był w Petersburgu *persona non grata*. Oczerniano go. Komunistów nazywali go faszystą, „Rzeźnikiem”.

– To część naszej historii – stwierdził w zamyśleniu. – Część naszej tragedii.

Przez most Aleksandra Newskiego wjechaliśmy do śródmieścia. Szkwarow wskazał na pomnik patrona mostu, wspominając z dumą, że właśnie w tym miejscu ten rosyjski władca pokonał Szwedów. Na jego cześć wzniesiono piękny monaster. Szeroki, imponujący bulwar też nosi jego imię. „Niewiele stolic świata – pisał kiedyś Mannerheim – posiada tak wspaniałą arterię jak Newski Prospekt”<sup>[33]</sup>. Wypatrzyłem po lewej stronie Dworzec Moskiewski, skąd odjeżdżają pociągi do stolicy Rosji. „Nie lubię Moskwy – powiedział Szkwarow. – Pełno tam pieniędzy i przestępców. Petersburg to carska i wojskowa stolica”.

Piotr Wielki też nie lubił Moskwy. W 1703 roku odwrócił się od dawnego Wielkiego Księstwa Moskiewskiego z jego zabobonnymi bojarami i średniowiecznymi tradycjami. Założył miasto Petersburg, które miało stać się dla Rosji „oknem na Zachód”. Wzniesienie nowoczesnej europejskiej metropolii na malarycznych bagnach Newy miało być dowodem na modernizację Rosji. Car sprowadził architektów z Europy, żeby zbudowali bulwary i mosty, nabrzeża i gmachy. Pod koniec panowania Katarzyny Wielkiej architektura miasta przywodziła na myśl potęgę i sławę starożytnego Rzymu. Szkwarow pokazał mi księgarnię mieszczącą się w neoklasycznym pałacu, most Aniczkowa z kamiennymi łukami i galopującymi końmi z brązu, sobór Kazański inspirowany rzymską Bazyliką św. Piotra. Na końcu arterii zobaczyłem w oślepiającym słońcu budynek Admiralicji. Jego poślaczana iglica z wiatrowskazem

przypominała wykrzyknik postawiony nad siedzibą sztabu marynarki wojennej.

Skęciliśmy w prawo w Wielką Morską. Za czasów Mannerheima był to elegancki adres. Przy tej ulicy mieściły się niegdyś wytworne restauracje, pałace, banki i sklep złotnika Fabergé<sup>[34]</sup>. Dziś w jednej z neoklasycznych rezydencji znajduje się niedrogi hotel. Fasadę budynku szpecą odłóżąca żółta farba i kruszące się stiuki. Po zameldowaniu się poszliśmy w kierunku siedziby Sztabu Generalnego. Sklepienie przejście nad Wielką Morską stanowi ramę dla wspaniałego widoku: jasnoniebieskiej barokowej fasady Pałacu Zimowego i wysokiej kolumny Aleksandra I zrobionej z różowego fińskiego granitu. Znajdowaliśmy się w samym sercu imperium. Wyjąłem aparat. Szkwarow uśmiechnął się z aprobatą.

Stąd zaczęła się nasza dwudniowa wycieczka po Petersburgu Mannerheima. Na Lermontowskim Prospekcie, dziesięć minut jazdy od hotelu, zatrzymaliśmy się przy pierwszym pamiątkowym miejscu. Szkwarow zaparkował na zadrzewionym placu przed eleganckim budynkiem w kształcie podkowy pomalowanym niedawno na musztardowo. „To dawna siedziba Mikołajewskiej Szkoły Kawalerii” – wyjaśnił. W tym budynku będącym nadal własnością wojska Mannerheim zamieszkał i uczył się po przybyciu do Petersburga. Szkwarow wydobyl z bagażnika czarną skórzaną teczkę i wyjął z niej liczący 680 stron tom w języku rosyjskim. Całe lata zajęło mu zebranie materiałów i napisanie pracy pod tytułem *Generał-lejtnant Mannerheim: urodzony, by służyć Imperium*.

Carl Gustaf Emil Mannerheim przyszedł na świat 4 czerwca 1867 roku. Jego ojcem był hrabia Carl Robert Mannerheim, a matką Helena z domu von Julin. Majątek Louhisaari, gdzie się urodził, należał do najwspanialszych posiadłości ziemskich w zachodniej Finlandii. Gustaf będący jednym z siedmiorga dzieci dorastał w kosmopolitycznym domu. Mówił po szwedzku (był to jego język ojczysty), francusku, niemiecku, angielsku i trochę po fińsku. Był niesfornym dzieckiem. „Mam powody, by martwić się o Gustafa, którego nieokiełznana i dzika natura się nie zmieni” – poskarżyła się pewnego razu jego matka.

W 1880 roku ojciec, *bon vivant* o liberalnych poglądach, zbankrutował i sprzedał majątek, żeby spłacić karciane długi. Porzucił rodzinę i uciekł z kochanką do Paryża. W następnym roku Helena ciężko zachorowała i zmarła na atak serca. Gustafem zajął się wuj Albert von Julin. Młody baron wstąpił do Fińskiego Korpusu Kadetów i pojechał do szkoły z internatem w Haminie, na przeciwległy kraniec Finlandii. Nie odpowiadała mu jednak atmosfera prowincjonalnego miasteczka. „Z radością czekałem na moment, kiedy będę mógł na zawsze pożegnać się z Finlandią i podążyć własną drogą” – pisał do siostry Sophie<sup>[35]</sup>. Pewnego wieczoru ulotnił się po angielsku i pojechał do kolegi na wieś. Złapali go, wyleciał ze szkoły.

Rodzina martwiła się o niespokojnego młodzieńca, który zapragnął teraz wstąpić do Mikołajewskiej Szkoły Kawalerii w Petersburgu. Car pod presją rosyjskich nacjonalistów coraz bardziej gnębił fińską kulturę i ograniczał autonomię wielkiego księstwa. Rodzina Mannerheima krzywiła się na pomysł wstąpienia na carską służbę. Zbyt silny był jednak urok Petersburga, wielkiej europejskiej metropolii. Mannerheim został junkrem, czyli uczniem

szkoły oficerskiej. Miał dwadzieścia lat.

Mikołajewska Szkoła Kawalerii miała, jak się wyraził Szkwarow, „najgorszą reputację w całej Rosji”. Starsi junkrzy notorycznie szykanowali młodszych. Jeden z kadetów wspominał, że „Gustaf, w gorącej wodzie kąpany, zawsze był gotowy do bójki”. Pewnego razu podczas pojedynku na szpady pokiereszował głowę jednemu z kolegów i o mało nie odciął mu ucha <sup>[36]</sup>. Jednak z czasem wydorósł, okiełznał swój temperament i znalazł się w gronie najlepszych uczniów. „Gustaf Mannerheim na długo przed objęciem dowództwa pułku nauczył się panować nad sobą” – dodał ów kadet <sup>[37]</sup>.

Od budynku szkoły pojechaliśmy brukowanymi ulicami nad kanałami, mijając cebulaste kopuły cerkwi Spas na Krowi, wzdłuż Pól Marsowych i nabrzeża, do kolejnego neoklasycznego gmachu w kolorze musztardowym. Ten miał majestatyczne kolumny, mieściła się tutaj wyższa szkoła inżynierii wojskowej. Szkwarow studiował w niej przez pięć lat. Sto lat temu były tu koszary kawalergardów, elitarnej jednostki przydzielonej do carskiego dworu i Pałacu Zimowego. Wuj Albert chciał, żeby Gustaf wstąpił do jakiegoś „pośledniego pułku i ciężką pracą oraz pilną nauką piął się w górę” <sup>[38]</sup>. Ale Mannerheim widział to inaczej: „Nie mam wpływów ani środków, dlatego mundur Gwardii szczególnie się liczy” <sup>[39]</sup>.

Szkwarow pokazał mi pierwsze mieszkanie Mannerheima po drugiej stronie ulicy, po czym zabrał mnie do hotelu Marszał (Marszałek) nazwanego tak na cześć marszałka Mannerheima. Mieściła się tu osobliwa wystawa. Ściany wyklejono reprodukcjami fotografii i tekstów przedstawiających całe życie Mannerheima. Wystawę zorganizował Leonid Własow, samozwańczy „profesor” (jego akademickie afiliacje nadal są dla mnie niejasne). Napisał kilka książek o Mannerheimie. Ta retrospektywa została najwyraźniej oparta na jego pikantnym dziele *Женщины в судьбе Маннергейма* (*Kobiety w życiu Mannerheima*) wydanym z pomocą Szkwarowa. Większość biografii osobliwie – być może podejrzanie – przemilcza miłosne życie barona. Według Szkwarowa Mannerheim był bezwzględny kobieciarzem wykorzystującym płeć piękną „dla własnej przyjemności lub kariery”. Panuje powszechna opinia, że był wyjątkowo przystojny. Liczący ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, proporcjonalnie zbudowany, w paradnym mundurze zyskał miano „Rycerza” <sup>[40]</sup>. „Wiele par oczu rozpromieniało się, gdy wkraczał do petersburskich salonów” – wspominał oficer, który go znał. Mannerheim romansował z księżniczkami, aktorkami i balerinami. Niektóre, jak podaje Szkwarow, zarzucały mu, że ma w sercu „kawałki fińskiego lodu”.

W 1892 roku Mannerheim, otrzymawszy przydział do kawalergardów, poślubił Anastazję Arapową, córkę rosyjskiego generała, byłego kawalergarda, który zmarł kilka lat wcześniej, zostawiając jej znaczny majątek. Mówiono, że nie była szczególnie atrakcyjna, co miało sugerować, że Mannerheim ożenił się dla pieniędzy i pozycji społecznej. Jakkolwiek było, małżeństwo nie trwało długo. Zakończyło się praktycznie w 1902 roku, gdy Anastazja z dwiema córkami przeniosła się do Francji.

„Własow interesuje się prywatnym życiem Mannerheima, ale ten aspekt biografii takiego człowieka jest owiany tajemnicą” – stwierdził Szkwarow, wpatrując się w portrety – Kto



naprawdę wie, jak wyglądały związki z wszystkimi tymi kobietami?”.

Obiad zjedliśmy w hotelowej Café Marshal. Zamówiłem sandacza *à la* Mannerheim, ulubione danie marszałka nadal podawane w niektórych helsińskich restauracjach. Smażona ryba podana jest z krewetkami i sosem z białego wina. Szkwarow, krojąc kotlet wieprzowy, rozwodził się nad głównym czynnikiem, dzięki któremu jego zdaniem Rosja stała się rozległym, wielkim mocarstwem. „Przez całe nasze dzieje, przez tysiąc lat, mieliśmy cara. Jeśli Putin będzie rządził do końca swoich dni, będzie to lepsze od zmian. Nie kierujemy się prawami, ale rozkazami cara”.

– Większość krajów Europy z powodzeniem przekształciła się z monarchii w demokracje. Dlaczego Rosja nie może? – zapytałem.

– Potrzebujemy cara – powtórzył Szkwarow. – Rosja różni się od wszystkich krajów europejskich. Potrzebujemy silnej ręki. Lata demokracji były koszmarem.

Wyjaśnił, że warunkiem odzyskania przez Rosję siły i pozycji wielkiego mocarstwa są trzy rzeczy: „car, miłość do ojczyzny oraz prawosławie”.

Gdy przedstawiał swój przepis na odrodzenie Rosji, nie mogłem odpędzić od siebie myśli, jak bardzo sprzeczne jest to, co mówi, z poglądami jego rodaków sprzed stu lat. Boom naftowy w Rosji był wtedy motorem uprzemysłowienia. Wytworzył ogromne bogactwo, ale większość robotników nadal żyła w nędzy. Pół miliona ludzi mieszkało w przepelnionych slumsach, gdzie ulicami płynęły nieoczyszczone ścieki. Alkoholizm i choroby były tam plagą. (Pierwszego roku pobytu w Petersburgu Mannerheim zaraził się tyfusem, cierpiał też na dolegliwości żołądkowe). Działalność związków zawodowych była zakazana, co przyciągało robotników do rewolucyjnego podziemia<sup>[41]</sup>. Dwudziestego drugiego stycznia 1905 roku wojsko carskie zabiło tysiące uczestników pokojowego protestu. Ludzie na ulicach zaczęli skandować: „Nie ma cara!”. Krwawa Niedziela zapoczątkowała koszmarne rok: zamordowano wielkiego księcia, Rosja poniosła klęskę w Mandżurii, rewolucja objęła całe imperium<sup>[42]</sup>. Siedemnastego października car Mikołaj II, by ją powstrzymać, został zmuszony do podpisania manifestu przyznającego swobody obywatelskie i ogłaszającego wybory do Dumy. Wydawało się, że Rosja wkroczyła na drogę demokratycznych reform. Jednak zdaniem Szkwarowa był to początek „tragedii”. W jego przekonaniu demokracja przynosiła Rosji jedynie chaos i upadek – i wtedy, i teraz.

„Patrz w przeszłość, wkraczaj w przyszłość” to motto wydawnictwa Szkwarowa, Rosyjskiej Encyklopedii Wojskowej. Misją oficyny jest wskrzeszenie wiary w „niezlomną siłę i potęgę Rosji”. Szkwarow publikuje książki z historii wojskowości, biografie słynnych dowódców i powieści historyczne. Znajduje w nich odbicie jego tęsknota za przeszłością i rządami carów. Jego zainteresowanie chwałą imperium nie ograniczyło się do historycznego rewizjonizmu, zajął się także rekonstrukcją. Chciał fizycznie wskrzesić przeszłość. Do tej pory zbudował albo odremontował cztery cerkwie i czasownie w okolicach Petersburga. Po obiedzie zawiózł mnie czterdzieści kilometrów na zachód od miasta, przez zielone przedmieście carskich letnich pałaców, do oryginalnego budynku stojącego na zalesionej działce.



Wzniesiono go w 1891 roku i był kiedyś łaźnią Wołyńskiego Pułku Piechoty. Szkwarow go niedawno odnowił, mieści się tu restauracja oraz małe muzeum wojskowe, w którym znajdują się rarytasy z jego kolekcji. Szkwarow zamierzał wybudować tu hotel, wykopać staw i postawić pomnik wojenny. Ten nowo powstały kurort o tematyce militarnej nazywa się Placówką Wołyńską.

Zasiedliśmy przy wygodnym narożnym stole w pustej eleganckiej restauracji stylizowanej na dziewiętnastowieczny klub oficerski. Wnętrze zdobiły obrazy olejne i mapy historyczne. Szkwarow dał znak, żeby puszczono muzykę – wojskowy walc. Kelner postawił przed nami marynowane grzyby i śledzie, następnie podał barszcz i szaszłyki z jagnięciny na wielkich żelaznych szpikulcach. Szkwarow zamówił dla mnie wódkę. Po kilku kieliszkach nabrałem odwagi, by podważyć jego absurdalną koncepcję, że car mógłby przywrócić Rosji dawną potęgę. W przeszłości doprowadziło to do katastrofy. Mikołaj II był w powszechnej opinii imbecylem: człowiekiem małostkowym, o reakcyjnych poglądach, nieufnym, niekompetentnym w sprawach wojskowych. „Nie zapominajmy o szalonym mnichu Rasputinie, który opanował dwór” – upierałem się. Pod władzą tego cara, jak się wyraził pewien historyk, Rosja stała się „autokracją bez autokraty”<sup>[43]</sup>.

Szkwarow zaciągał się marlboro, obmyślając odpowiedź. „Kochał swoją rodzinę” – odparł. „Był łagodnym carem. Nie interesował się polityką; kosztowała go zbyt wiele wysiłku”. Na ścianie za nim wisiał wzruszający portret cara z synkiem Aleksiejem. Chłopczyk o policzkach jak brzoskwinie był chory na hemofilię, a Rasputin twierdził, że potrafi go uleczyć. Nieco defensywnym tonem Szkwarow dodał: „Mannerheim chciał przywrócić w Rosji monarchię”. Rzeczywiście, baron zachowywał głęboką lojalność wobec Mikołaja II. Na jego koronacji miał zaszczyt pełnić funkcję jego osobistego ochroniarza. W swoim domu w Helsinkach, gdzie obecnie mieści się muzeum, wyeksponował nawet zdjęcie Mikołaja II z autografem. Na pytania zdumionych gości odpowiadał po prostu: „Był moim cesarzem”<sup>[44]</sup>. Ale podobnie jak Szkwarow nie dostrzegał wyjątkowej niekompetencji władcy, który storpedował reformy mogące zmodernizować i ustabilizować społeczeństwo rosyjskie.

– A co z demokracją? – zapytałem. – Nie sądzi pan, że mogłaby obecnie pomóc w stabilizacji Rosji?

– Gdyby zaprowadzić tu demokrację, mielibyśmy rewolucję – powiedział Szkwarow. – Nie możemy żyć bez silnej ręki.

„Silna ręka” (*silnaja ruka*) to zwrot, który często słyszy się w Rosji od końca podchmielonej epoki Borysa Jelcyna. Wielu Rosjan uważa Putina za „stabilizatora”, który przywrócił porządek i prestiż kraju. Uwięził nieposłusznych oligarchów, uciszył niezależne media, manipulował wyborami, gnębił partie opozycyjne i dysydentów. Kreml znacjonalizował w praktyce przemysł naftowy i agresywnie umacnia na nowo swoją pozycję w Azji Środkowej, próbując roztoczyć kontrolę nad przepływem ropy naftowej i gazu – to wygrana w Nowej Wielkiej Grze. Pod rządami Putina Rosja stała się demokracją bez demokracji. Szkwarowowi ta zmiana się spodobała.

Jego Nowa Rosja zaczęła w dużej mierze przypominać starą. Teraz jednak władcy Rosji nie wywodzą się z arystokracji, w której żyłach płynie błękitna krew, ale z szeregów cechującej się zimną krwią tajnej policji. Putin przeżył kolejne szczeble awansu w KGB i jego następczyni, Federalnej Służbie Bezpieczeństwa (FSB). Pod koniec jego pierwszej kadencji prezydenckiej byli agenci KGB stanowili jedną czwartą wysokich urzędników państwowych <sup>[45]</sup>. Szkwarow, który ma przyjaciół w FSB, też z uznaniem powitał tę nową elitę.

– W strukturach KGB są nadzwyczaj inteligentni ludzie – powiedział. – Większość z nich to prawdziwi rosyjscy patrioci.

\* \* \*

Państwowe Muzeum Ermitażu ma jedną z najbogatszych i najstarszych w świecie kolekcji dzieł sztuki i artefaktów kultury. Mieści się w sześciu budynkach, z których największym jest dawny Pałac Zimowy. Wszedłszy tylnym wejściem od nabrzeża, musiałem poddać się kontroli wykrywaczami metali i minąć niejednego ochroniarza, zanim znalazłem się w majestatycznym sanktuarium tej placówki. Powitała mnie Anna Gałaszkowa, blondynka w średnim wieku, rzecznik prasowa muzeum. Usiedliśmy na ciemnych zabytkowych fotelach w długim, bogato zdobionym korytarzu przed gabinetem dyrektora.

– Mannerheim to dla Rosji bardzo kontrowersyjna postać – powiedziała niepewną angielszczyzną. – Nie każdy patrzy nań pozytywnie.

Napomknęła, że ukazał się artykuł krytykujący Ermitaż za urządzenie wystawy poświęconej człowiekowi, którego wielu weteranów wojennych uważa za faszystę.

– Ale był on też przecież wybitnym oficerem imperium – przypomniałem.

– Był szalenie przystojny – stwierdziła z zachwytem, przykładając rękę do piersi. – I kochał kobiety.

Na wystawie, którą w ubiegłym roku otwarto w Muzeum Gwardii, zaprezentowano około czterystu eksponatów, w tym słynną fotografię Mannerheima ochraniającego Mikołaja II podczas koronacji, jego szpadę kawalergarda, prywatne listy, notes z okresu wojny rosyjsko-japońskiej oraz artefakty i zdjęcia z wyprawy do Azji. Znalazły się też przykłady radzieckiej propagandy określającej Mannerheima jako „krwawego pijaka”, „kata” i „pokornego sługę” Hitlera <sup>[46]</sup>.

O umówionej porze wkroczyłem przez masywne dębowe drzwi do imponującego gabinetu dwa razy wyższego niż normalne pomieszczenie. Jego czerwone ściany zdobiły wielkie osiemnastowieczne arraszy przedstawiające idylliczne sceny z wiejskiego życia. Wisiał tam również portret Katarzyny Wielkiej, która prywatną kolekcję sztuki nazwała swoją pustelnią – *hermitage*. Pod nim stało biurko, na którym piętrzyła się półmetrowa sterta papierów, książek i różnych bibelotów.

Za tą barykadą siedział Michaił B. Piotrowski, dyrektor Ermitażu i potomek dynastii muzealników. Jego ojciec, wybitny archeolog, był dyrektorem muzeum w latach 1964–1990.

Syn niczym księżę dorastał w Pałacu Zimowym i w 1992 roku objął po ojcu stanowisko dyrektora. Ma falujące siwe włosy, nosi okulary, jest przenikliwy i dowcipny.

– Dlaczego muzeum urządziło wystawę poświęconą człowiekowi budzącemu w Rosji takie kontrowersje? – zapytałem. – Dowodził armią, która zabiła ćwierć miliona rosyjskich żołnierzy.

– W Rosji wszystko budzi kontrowersje – stwierdził lekkim tonem Piotrowski.

Wyjaśnił mi, że do priorytetów Ermitażu należy ponowne przedstawienie historii Rosji w sposób skłaniający do myślenia. Muzeum może pomóc w wyprostowaniu będącego skutkiem kilkudziesięciu lat radzieckiej propagandy powszechnego pomieszania pojęć wokół przeszłości kraju. W tym duchu Piotrowski chciał przedstawić Mannerheima jako „postać prawdziwie rosyjską”, co za czasów radzieckich byłoby herezją. Ekspozycja wpisuje się w akcję odrodzenia – w ostatnich latach ukazało się w Rosji wiele książek i filmów dokumentalnych, zorganizowano też wiele wystaw poświęconych byłemu carskiemu gwardziście. „Mitologia Mannerheima”, jak określił to Piotrowski, ukształtowała się nawet wokół licznych romansów barona, jego waleczności oraz przywiązania do Petersburga. Pomimo nacisków Hitlera Mannerheim odmówił wydania fińskim oddziałom rozkazu do ataku na miasto. Wielu Rosjan wierzy, że kierowała nim miłość do Petersburga, ale Piotrowski wiedział, że wynikało to z jego „mądrych przemyśleń” na temat strategii wojskowej. W każdym razie, jak stwierdził, „Mannerheim jest dziś w Petersburgu bardzo modny”.

Dyrektor wyraził się z dużym uznaniem o wykładzie Mannerheima do etnografii i geografii Azji. Życzył mi powodzenia w moich wozajach. Poprowadzono mnie z powrotem bogato zdobionym korytarzem do wielkich drewnianych drzwi. Za nimi były marmurowe schody i Pałac Zimowy. Tysiące turystów w dużych grupach prowadzonych przez przewodników torowało sobie drogę przez wspaniałe sale zdobione złotem, gdzie z sufitów zwisały skrzące się kryształowe żyrandole. Przepych tysiąca sal pałacu mieszczących najwspanialsze skarby sztuki znane cywilizacji zbijał z tropu.

\* \* \*

Dwa razy w miesiącu Mannerheim pełnił służbę w Pałacu Zimowym. Maszerował pięć kilometrów wzdłuż nabrzeża Newy do pałacu, gdzie przywdziewał swój paradny mundur: białą tunikę ze srebrnym kołnierzem i szewronami, obcisłe spodnie z kozłej skóry (które wilgotne wciągano na gołe ciało), buty wojskowe, szkarłatną kamizelkę i hełm z godłem imperium, dwugłowym orłem nazywanym przez gwardzistów „gołębiem”. Przez Salę Marszałkowską szedł do gabinetu cara. Nocą pełnił wartę przy jego sypialni, gdzie etiopscy służący w regularnych odstępach czasu przynosili kawę.

Prowadził życie arystokratycznego playboya. „Do tej pory trwało wystawne ucztowanie: codziennie bale i inne imprezy – pisał do wuja. – Jeśli ktoś chce tu, w Petersburgu, zyskać pozycję społeczną, zdobyć znajomych i nawiązać użyteczne kontakty, musi bywać na wszystkich balach i przyjęciach socjety”<sup>[47]</sup>. Często można było go spotkać w klubie polo na

Wyspie Krestowskiej. Był smakoszem. Louis Sparre, mąż siostry Mannerheima Ewy, wspominał, że baron zabrał go na obiad do pałacu wielkiego księcia, gdzie jedli kawior i lody<sup>[48]</sup>. „Już mnie zaczyna męczyć to życie milionera” – skarżył się Sparre swojej żonie.

Ale konsumpcja na pokaz, jakiej oddawali się arystokraci, maskowała tylko nędzę i przemoc panujące w Rosji na przełomie wieków. Od października 1905 roku do kwietnia 1906 roku wojsko i policja zabiły piętnaście tysięcy osób, raniły dwadzieścia tysięcy i zlikwidowały zbuntowaną republikę chłopską nad Wołgą<sup>[49]</sup>. Brutalne carskie represje dotknęły też rodzinę Gustafa Mannerheima.

W 1903 roku jego brat Carl, prawnik niekryjący swych przekonań, został wydalony z Finlandii za poglądy polityczne. Gustaf napisał do niego, że z każdym dniem „pozostawanie w służbie [cara – przyp. E.E.T.] budzi coraz większy wstręt”<sup>[50]</sup>. Myślał nawet o wystąpieniu z korpusu oficerskiego<sup>[51]</sup>. Małżeństwo mu się rozpadło, nic go nie trzymało w Petersburgu, przyjął więc tajną misję zaproponowaną przez Palicyna. „Wyprawa do spokojnych i cywilizowanych Chin jest znacznie mniej niebezpieczna niż dowodzenie obecnie pułkiem w Rosji” – napisał później z drogi do ojca<sup>[52]</sup>.

Mannerheim zwrócił na siebie uwagę Sztabu Generalnego rok wcześniej, kiedy zaproponował misję rozpoznawczą do Mongolii. Dobrze się nadawał do pracy wywiadowczej: świetnie jeździł konno, znał kilka języków, mężnie się spisywał na polu bitwy i mógł podróżować z fińskim paszportem. „Dostałem rozkazy, żeby ukrywać, iż jestem oficerem – pisał – i podróżować jako fiński żywił będący członkiem różnych stowarzyszeń naukowych”.

Krażyły wtedy pogłoski o buddyjskiej cywilizacji spoczywającej pod piaskami pustyń Azji Środkowej. Wszystkie wielkie mocarstwa wysyłały tam ekspedycje archeologiczne. Niejednokrotnie nauka splatała się z działalnością szpiegowską. Brytyjczycy uprawiali ją pod przykrywką „badań geograficznych”, Rosjanie woleli „ekspedycje naukowe”, a z Japonii przyjeżdżali podejrzani „mnisi” poszukujący swoich buddyjskich korzeni. Mannerheim, zamierzając nadać swojej misji pozory wyprawy naukowej, skontaktował się z senatorem Ottonem Donnerem, wybitnym fińskim uczonym, przewodniczącym Towarzystwa Fińsko-Ugryjskiego. Donner zlecił mu zebranie archeologicznych i etnograficznych eksponatów dla nowego muzeum w Helsinkach.

Zawodowy żołnierz bez przygotowania naukowego przestudiował dwa angielskie podręczniki, *Hints to Travellers* (*Wskazówki dla podróżników*) i *Notes and Queries on Anthropology* (*Uwagi i pytania dotyczące antropologii*), by przyswoić sobie „praktyczną wiedzę niezbędną podróżnikowi”<sup>[53]</sup>. Zapoznał się też z relacjami z pierwszej ręki spisanyymi przez Marca Polo, Mikołaja Przewalskiego, Svena Hedina i Aurela Steina. Długie godziny spędził w archiwach Sztabu Generalnego. Gdy wybrał się do Szwecji, by odwiedzić swego brata Carla, kupił tam najnowszy aparat fotograficzny Ernemann Klapp oraz części zapasowe. Zamówił w Paryżu pięćset płyt fotograficznych i tanie podarki, w tym pozytywki, stereoskopy *à images pornographiques* oraz zdjęcia kolorowych kobiet. Wyobrażał sobie, że „tubylcom bardzo się spodoba”<sup>[54]</sup>.

Dwa tygodnie przed wyruszeniem w podróż wybrał się do Björnholmen koło Helsinek, by pożegnać się z ojcem i siostrą. „Gustaf wszystko i wszystkich fotografuje, bardzo chce się nauczyć” – wspominała Sophie<sup>[55]</sup>. Szóstego czerwca 1906 roku zebrał swoje szesnaście kufrów i wsiadł do pociągu odjeżdżającego o północy do Moskwy.

\* \* \*

Ostatnią kolację w Petersburgu zjadłem w chińskiej restauracji Chopstick w Grand Hotel Europe przy Newskim Prospekcie. Hotel otwarto w 1875 roku, nosił wtedy nazwę Hôtel de l'Europe, miał barokową fasadę i luksusowe secesyjne wnętrza. Mannerheim często się tu zatrzymywał, kiedy nie miał stałego mieszkania w mieście. Za czasów radzieckich w budynku mieściły się szpital, sierociniec i urzędy państwowe. W 1991 roku znów znalazł się tutaj hotel. Zakrojone na szeroką skalę prace restauracyjne wskrzesiły niedawno jego arystokratyczną atmosferę. Teraz był luksusowym przybytkiem bajecznie bogatych Rosjan. Przed budynkiem parkowała flota czarnych mercedesów.

Za rogiem mieści się Teatr Michajłowski, niegdyś ośrodek kultury francuskiej w Petersburgu. Język francuski był popularny na carskim dworze, Mannerheim mówił w domu z żoną po francusku. (Jego rosyjski był podobno bardzo kiepski). W pięknie odrestaurowanym teatrze obejrzałem wspaniałe wykonanie *Jeziora łabędziego*. O dziesiątej wieczorem wyszedłem z zatłoczonego, dusznego teatru na świeże, chłodne powietrze. Pospiesznie zabrałem z hostelu swój bagaż i pojechałem na Dworzec Moskiewski.

Był szósty czerwca – setna rocznica wyjazdu Mannerheima z Petersburga. Nerwowo utorowałem sobie drogę, mijając oddział antyterrorystów strzegący wejścia na dworzec, i wsiadłem do nocnego pociągu. W dusznym przedziale miałem za towarzyszy dwóch pulchnych rosyjskich biznesmenów i kobietę o płomiennie kasztanowych włosach. Za oknem w ostrygowym świetle letniej nocy przesuwwały się ponure przedmieścia, które ustąpiły miejsca północnym lasom. O dwudziestej czwartej rozległ się z trzeszczących głośników porywający hymn narodowy – wersja dawnego hymnu radzieckiego – po czym w wagonie zapadła cisza.

Zamknawszy oczy, próbowałem sobie wyobrazić Petersburg sprzed wieku, na krawędzi brutalnej rewolucji, oraz ulgę, jaką musiał poczuć Mannerheim, uciekając przed swoimi kłopotami. A potem zaświtała mi niepokojąca myśl, że moje kłopoty dopiero miały się zacząć.



## 2. Azerbejdżan: nagroda Nobla

Wszystko, od szybu do knota, było dziełem Nobla.

Robert W. Tolf, *The Russian Rockefeller*<sup>[56]</sup>

Mannerheim wyjechał z Moskwy pociągiem do Niżniego Nowgorodu, tętniącego życiem rzeczno-portu zatłoczonego parowcami, statkami towarowymi, spławianym drewnem i tankowcami. Zanim wsiadł na parowiec, zdążył zwiedzić imponujący kreml z czerwonej cegły. Przebycie dwóch tysięcy dwustu kilometrów w dół Wołgi do Morza Kaspijskiego zajęło pięć dni. „Podróż jest bardzo przyjemna. Krótkie postoje. Szybko się posuwamy – pisał Mannerheim. – Jedna miła dla oka sceneria zastępuje drugą, piękne, specyficzne krajobrazy powoli się zmieniają, przechodząc stopniowo z pagórków porośniętych lasem w płaski, żółty, piaszczysty step”. Rozproszone prowincjonalne miasta składały się z nędznych drewnianych domów z zapuszczonymi ogrodami „połączonych pełnymi kurzu ulicami, źle wybrukowanymi albo niebrukowanymi w ogóle”. Nawet większe porty – Kazań, Symbirsk, Samara, Saratow i Carycyn (obecnie Wołgograd) – nie robiły wrażenia. „Miasta szczycą się nędznymi tramwajami konnymi ciągniętymi przez zabiedzone zwierzęta”.

Baron poznał na pokładzie młodego, wysokiego księdza katolickiego z Saksonii, który płynął do Saratowa, gdzie w latach sześćdziesiątych XVIII wieku osiedlili się niemieccy koloniści. Rozmawiali o sytuacji politycznej. Pofałdowane tereny rolnicze między Samarą i Saratowem były najuboższymi i najbardziej skorymi do buntu rejonami imperium. Ostatniej jesieni podczas próby rebelii oddziały chłopskie zniszczyły w okolicach Saratowa więcej szlacheckich majątków niż gdziekolwiek indziej. Zaatakowano ich tak wiele, że świadek tamtych wydarzeń wspominał „widok stepu rozjarzonego nocą płonącymi dworami”<sup>[57]</sup>.

„Jedyną nadzieją dla Rosji jest utworzenie partii na wzór niemieckiego Katolickiego Centrum” – stwierdził ksiądz. Ale na próżno by szukać politycznego centrum w kraju rozdieranym klasową nienawiścią, gdzie autorytarny reżim doprowadził do brutalizacji stosunków społecznych. Mannerheim w swoim dzienniku całkiem przemilcza spalone dwory i grasujących chłopów. Odnotował tylko, jak na snoba przystało, że towarzysze podróży to ludzie „bardzo pośledniego gatunku”.

W Astrachaniu, u ujścia Wołgi, spotkał swoją dawną przyjaciółkę z Petersburga i jej „niepozornego” męża. Razem popłynęli starym parowcem przez Morze Kaspijskie do odległego o dziewięćset czterdzieści kilometrów Baku. Po uciążliwej podróży zatrzymali się następnego dnia w połowie drogi, w Pietrowsku.

Mannerheim opisywał Pietrowsk jako „niewielkie białe kąpielisko wciśnięte między Kaukaz a Morze Kaspijskie. Ubogie i opustoszałe”. Była tu jednak piękna plaża z grubym piaskiem,

o który rozbiły się morskie bałwany. Mannerheim zdecydował się na „odświeżającą kąpiel w morzu. Fale mnie przewracały i przyjemnie masowały”. Raczył się napojami w pobliskiej kawiarence razem z przyjaciółmi z Petersburga, którym zrobił zdjęcie na plaży. Jeden niepokojący szczegół na fotografii wytwornej pary sugeruje, że na Kaukazie nie było tak znów spokojnie: z kieszeni marynarki męża wystaje rękojeść rewolweru.

\* \* \*

Chciałem popłynąć Wołgą śladami barona. Wiele kompanii ma w swojej ofercie tygodniowe rejsy luksusowymi statkami z Moskwy lub Niżniego Nowgorodu, ale z Astrachania do Baku, stolicy Azerbejdżanu, nie było połączenia promowego ani lotniczego. Podróż lądem też wydawała się niemożliwa. Zarówno linia kolejowa, jak i szosa bieły przez Czeczenię spustoszoną działaniami wojennymi. „Kąpielisko” Mannerheima stało się miejscem krwawej łaźni. W Pietrowsku (obecnie Machaczkałe), stolicy Republiki Dagestanu wchodzącej w skład Federacji Rosyjskiej, nieustannie dochodziło do zamachów terrorystycznych, porwań i wymiany ognia między siłami bezpieczeństwa a separatystami. „Niestety – przestrzegano na jednej z turystycznych stron internetowych – władze mogą się okazać dla podróżnych jeszcze większym zagrożeniem niż rebelianci, bandyci i gangi”.

Znalazłem się więc na pokładzie samolotu linii Aerofłot, rejs numer 147. Podróż z Moskwy do Baku trwała trzy godziny. Czytałem przewodnik oraz „Moscow Times”. Niemal pod koniec lotu zauważyłem kątem oka połac złotawobrazowej ziemi. Wyjrzałem przez okienko. Nad Półwyspem Apszerońskim wisiała warstwa mgły. Półwysep w kształcie sztyletu wbija się na siedemdziesiąt kilometrów w Morze Kaspijskie. Poplamiony jest oleistymi stawami i słonymi jeziorami, których brzegi pokrywa biały osad. Otoczona zielenią Zatoka Bakijska wcina się w południową część półwyspu. Tysiące czarnych wież wiertniczych obsiadło okolicę jak stada komarów, wysysając czarną krew ziemi. Zaraz wyląduję w największym naftowym mieście wszech czasów. „Jeśli ropę naftową nazwiemy królem – pisał w 1906 roku pewien podróżnik – to Baku będzie jej tronem”<sup>[58]</sup>.

Była republika radziecka leży na udokumentowanych złożach zawierających od siedmiu do trzynastu miliardów baryłek. W ciągu dekady produkcja zwiększyła się ponad trzykrotnie, a rok 2006 był rekordowy – wydobywanie ropy wzrosło o pięćdziesiąt procent, natomiast PKB o ponad trzydzieści procent<sup>[59]</sup>. Pomimo naftowego bogactwa Azerowie są zadziwiająco ubodzy: przeciętna płaca wynosi sto dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, a połowa ludności osmiomilionowego kraju żyje poniżej minimum socjalnego. Siedząca obok mnie przysadzista kobieta w średnim wieku była jedną z tysięcy osób migrujących do Rosji w poszukiwaniu pracy. Tuż przed lądowaniem poszła do toalety i wróciła w nowej bluzce, ze starannie ułożoną fryzurą. Zaczęła nakładać grubą warstwę makijażu, po czym wyciągnęła gruby zwitek studolarowych banknotów. Śliniąc kciuk, odliczyła trzy tysiące dolarów.

Wyszedłszy z klimatyzowanego terminalu, o mało się nie udławiłem pierwszym haustem powietrza w Baku. Było suche i duszące. Słońce oślepiało, nie mogłem powstrzymać się od

mrugania. Przed przylotem zamówiłem samochód z kierowcą, żeby się dostać do miasta. Podczas jazdy, która nie trwała długo, zauważyłem osiedle nowych willi nad jadowicie zielonym jeziorem oraz cały las wież wiertniczych. Pojęcie „park przemysłowy” nabrało nowego znaczenia. Na zakręcie wznosił się billboard z portretem mężczyzny o wielkim haczykowatym nosie i sumiastym wąsie przypominającego Groucho Marksa. „Nasz prezydent” – powiedział szofer.

Ilham Alijew w drodze sfałszowanych wyborów przejął prezydenturę od swojego schorowanego ojca Hejdara, byłego oficera KGB i członka Biura Politycznego – była to pierwsza dynastyczna sukcesja w postradzieckiej Azji Środkowej. Wizerunki obu mężczyzn są w Baku tak wszechobecne jak odór ropy naftowej.

Zajechaliśmy przed „projekt Stalina”, szare szkaradzieństwo z betonu wznoszące się o kwartał od nadmorskiej promenady. Na brudnej klatce schodowej cuchnęło jak w rynsztoku. Skrzypiąca, trzęsąca się winda wwozła nas na szóste piętro. Przyjemnie zaskoczyło mnie czyste, duże mieszkanie, które wynająłem od mówiącego po rosyjsku Tatara. Pokoje były jasne, przewiewne i klimatyzowane. Koło zegara z obrazkiem świętego meczetu w Mekce zauważyłem kieliszki i karafkę. *Happy hour* i *hadżdż* koegzystują w Baku pokojowo.

Popołudnie spędziłem zwiedzając stare miasto. Otoczona murami dzielnica położona na wzgórzu po zachodniej stronie zatoki to labirynt domów o płaskich dachach, zapomnianych meczetów, tatarskich pałaców i sklepików dla turystów. Po wąskich uliczkach biegają koty i dzieci. Dalej na południowy wschód znajduje się „Boomtown”, malownicza dzielnica europejska, która wyrosła po pierwszym boomie naftowym w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Są tu starannie wytyczone ulice, parki, teatry i okazałe rezydencje zbudowane sto lat temu przez naftowych baronów. Dziś w dzielnicy tej, gdzie malowniczo się łączą różne style architektoniczne, od secesji do osmańskiego, skupia się życie pracujących w Baku cudzoziemców. Są tu dziesiątki barów o zawyżonych cenach, drogich apartamentów, restauracji i hoteli dla naftowców z zagranicy.

Wieczorem nadmorska promenada zaludniła się tłumami spacerowiczów napawających się chłodną bryzą od Morza Kaspijskiego, zabawiających się w wesołych miasteczkach, słuchających ulicznych muzykantów. Siadłem na falochronie, chłonąc tę karnawałową atmosferę. Ahmed, dwudziestotrzyletni Pakistańczyk, pozdrowił mnie po angielsku. Był niski, ciemnoskóry, uśmiechał się szeroko i niewinnie. Postawił mi napój gazowany i chciał się zaprzyjaźnić.

Okazało się, że jest kupcem z Dżalalabadu, a w Baku przebywa już od siedmiu miesięcy, zajmując się importem artykułów sportowych do Europy Wschodniej. Nie lubił jednak miasta ani jego mieszkańców. „Azerowie nie są dobrymi muzułmanami” – stwierdził. Sam był Pusztunem i sunnitą „przestrzegającym tradycji”, jak mnie kilkakrotnie zapewnił. Bulwersowało go picie wódki i widok skąpo odzianych azerskich dziewcząt. „Czy to muzułmanka? – zapytał, wskazując na biuściastą dziewczynę w bluzeczce na ramiączkach. – W Pakistanie by ją zabili!”. Poskarżył się, że tam, gdzie mieszka, nie ma nawet meczetu.

- Jestem porządnym muzułmaninem – powiedział. – Nie piję, nie palę, nie pieprzę.
- Ja też – stwierdziłem, szukając usilnie jakiejś wspólnej cechy. – Też nie palę.

\* \* \*

„Admirał Kornilow” zawiązał do Zatoki Bakijskiej późnym wieczorem 15 lipca 1906 roku. „Miasto położone jest amfiteatralnie na wschodnim zboczu wzgórz – pisał Mannerheim. – Światła błyskają z daleka i z bliska otoczone tajemniczym kształtem wzgórz i oświetlają niekończące się rzędy wież wiertniczych, które wyłaniają się z ciemnej ziemi niczym armia duchów”.

Rok wcześniej dwie trzecie bakijskich pól naftowych podpalono podczas makabrycznej fali walk etnicznych. „Płomienie palących się wież i szybów strzelały w górę, przechodząc w ohydny chmurę dymu wiszącą nad tym piekłem – wspominał jeden z ocalałych z rzezi. – Po raz pierwszy w życiu uświadomiłem sobie, co mogą znaczyć słowa «rozpętało się piekło»”<sup>[60]</sup>. Od jakiegoś czasu zaogniał się konflikt między muzułmanami a chrześcijanami, Azerami a Ormianami. Władze rosyjskie dolewały oliwy do ognia, uzbrajając azerską większość, liczyły bowiem na zdławienie ormiańskich nacjonalistów. Azerom nie w smak było bogactwo i status wielu wykształconych Ormian, którzy bardzo skorzystali na boomie naftowym. Naftowi magnaci sprzed wieku z nielicznymi godnymi odnotowania wyjątkami byli mocno nieciekawym towarzystwem. Syn jednego z azerskich nafciarzy określił ich jako „kastę, która pod względem barbarzyńskiego luksusu, rozpasywania, despotyzmu i ekstrawagancji nie ma równych sobie”<sup>[61]</sup>. Bolszewicy też dokładali starań, żeby przekształcić Baku w kocioł rewolucji.

W maju 1905 roku miasto sparaliżował strajk generalny i krwawe walki na tle etnicznym. Azerowie zaatakowali wille bogatych Ormian, którzy zareagowali z równą zaciekłością. Pewien magnat naftowy przez trzy dni odpierał ataki i ze swojego powtarzalnego winchestera położył trupem około czterdziestu muzułmanów, zanim dziki tłum podpalił jego rezydencję i zmasakrował rodzinę. „Odór zwłok zapierał dech w piersi – czytamy w jednej z relacji. – Kobiety z szaleństwem w oczach szukały swoich dzieci, mężowie przerzucali zwały gnijącego mięsa”<sup>[62]</sup>. Kozacy przemierzali konno ulice, strzelając na chybił trafił do ludzi, żeby przywrócić porządek. Baku zyskało miano „największej plamy krwi na tajemniczym, buntowniczym i skrwawionym Kaukazie”<sup>[63]</sup>. Do końca lata zniszczono tysiąc szybów naftowych, zginęło około dwóch tysięcy ludzi. Pierwszy boom naftowy w Baku dobiegł końca.

\* \* \*

– Miasto z pewnością zawdzięcza przemysłowi naftowemu bujny rozwój budownictwa – zauważyłem. – Wysokościowce wyrastają jak grzyby po deszczu.

Steinar Gil uśmiechnął się, rozbawiony moim naiwnym spostrzeżeniem. „Trochę buduje się legalnie, ale w większości jest to pranie brudnych pieniędzy” – wyjaśnił.



Odważny ambasador Norwegii zyskał sławę dzięki swojej bezceremonialności. Racząc się specjalnościami kuchni włoskiej podczas lunchu w szpanerskim hotelu SAS Radisson, opowiadał o korupcji, fałszowanych wyborach, prześladowaniach politycznych, mordowaniu dziennikarzy, waśniach etnicznych. Był to mój drugi dzień w Baku.

– Dwa sektory są w tragicznej sytuacji – opowiadał. – Służba zdrowia i oświata. Są nie tylko niedofinansowane i zdeorganizowane, szerzy się łapownictwo i korupcja. Bez łapówki niczego się nie załatwi. Kiedy student dostaje dyplom, nigdy nie wiadomo, czy zdobył odpowiednie kwalifikacje. Dyplom można po prostu kupić.

Co roku pierze się ogromne sumy pieniędzy – prawdopodobnie setki milionów dolarów, ale tego nikt nie wie – wyprowadzanych z kasy państwowej. „To kraj wydobywający ropę naftową nie od dziś, od stu trzydziestu lat, ale nie stworzył żadnej technologii ani przemysłu” – powiedział Gil. Znikoma część naftowego bogactwa spływa w dół, do społeczeństwa albo inwestowana jest w różne branże przemysłu.

Wieczorem poszedłem się napić do Ocean Deck Bar and Grill, knajpy ekspatów w Parku Małakanskim. Bar znajduje się na środku stawu na wyspie, wiedzie do niego droga na grobli. Dwóch wytrawnych szkockich naftowców siedziało w towarzystwie czterdziestoparoletniego Amerykanina. Wszyscy byli w średnim wieku, rumiani, i rozmawiali o swojej pracy w Arabii Saudyjskiej. Amerykanin o imieniu Scott mieszkał sam w dawnej rezydencji naftowego barona tuż za rogiem. Według ogłoszeń w „Baku Post” za wynajem apartamentu w tej okolicy płacono się cztery tysiące dolarów miesięcznie. Scott opisywał swoje ogromne jacuzzi otoczone białym marmurem jak rzymska łaźnia. Przestronny salon miał sklepiony sufit i połączane gzymsy. „Jedno wielkie bezguście – stwierdził Scott, obejmując szklanę z piwem. – Mieszkam w burdelu”. Niektóre rzeczy się nie zmieniają – w 1906 roku pewien przybysz odwiedzający miasto boomu naftowego uskarżał się, że „wszystko świadczy o smutnej wulgarności nuworozsyz”<sup>[64]</sup>.

Następnego ranka minibus w kolorze turkusowym zawiózł mnie do źródła bogactw Azerbejdżanu – a także jego nieszczęść, jak twierdzą niektórzy. Minibus należący do British Petroleum wspinał się na zachodnie wzgórze górujące nad nieczynnymi już polami naftowymi Bibi Eibat. W 1900 roku pole to eksplodowało od samoczynnych wytrysków ropy. Jedna z tych fontann trysnęła na siedemdziesiąt pięć metrów w górę, aż czarna mgła opadła na odległe o dziesięć kilometrów Baku<sup>[65]</sup>. Świat nie oglądał dotąd takiego widowiska. To samo można powiedzieć o spustoszeniach, jakie tu nastąpiły: Bibi Eibat to dziś przemysłowe cmentarzysko, gdzie zardzewiałe czarne wieże wznoszą się jak nagrobki nad spaloną słońcem ziemią i żółtozielonymi lagunami.

Na szczycie wzgórze ostry zakręt wyprowadził nas na południowy cypel położonej w dole zatoki. Od razu zobaczyliśmy trzy wielkie przybrzeżne platformy wiertnicze. Znajdujące się na lądzie pola naftowe zostały już w znacznym stopniu wyczerpane, najbardziej lukratywne wiercenia odbywają się więc na morzu, przy brzegu. Minibus jechał dalej na południe, mijając płowiejące billboardy z Hejdarem Alijewem, opuszczone szyby wiertnicze oraz dziesiątki



dźwigów pracujących przy budowie stu pięćdziesięciometrowej stalowej wieży nowej platformy. Dotarliśmy w końcu do Sangaczalu, odległego o czterdzieści pięć kilometrów od Baku największego w świecie terminalu naftowego. Zajmuje obszar dwustu pięćdziesięciu sześciu hektarów, składa się z ogromnych białych zbiorników zawierających po osiemset tysięcy baryłek ropy oraz czterech mniejszych, połączonych labiryntem rurociągów. Są tu również podgrzewacze ropy i separatory gazu. Jedyna flara płonie na wysokości dwudziestu pięter ponad terminalem. Na tle imponującego Garadagu – Czarnej Góry – smukły komin i pomarańczowy płomień wyglądają jak zoroastriański totem.

Młody azerski inżynier Wasif oprowadził mnie po otwartym niedawno Kaspijskim Centrum Energetycznym, nowoczesnej placówce edukacyjnej w kształcie dzioba statku. „Pracujemy z dziećmi, żeby wzbudzić w nich zainteresowanie przemysłem wydobywania ropy i gazu” – powiedział, pokazując mi małe schronisko dla żółwi i sale lekcyjne. Następnie poczęstowano mnie ciastkami i pokazano niedbale przygotowaną prezentację w PowerPoincie poświęconą dziejom przemysłu naftowego w Baku, gdzie drugi boom nastąpił w 1994 roku. Hejdar Alijew podpisał wtedy z konsorcjum kierowanym przez BP wart dziesięć miliardów dolarów „kontrakt stulecia” na rozwój pól naftowych Azeri-Czirag-Guneszli. Pola te, znajdujące się na morzu w odległości stu dwudziestu kilometrów od brzegu, zawierają 5,4 miliarda baryłek ropy nadającej się do wydobywania. Trzy lata później zaczęła już napływać do terminalu Sangaczal.

Chciałem obejrzeć sam terminal, ale przeszkodziły temu surowe względy bezpieczeństwa. Strzegł go cały garnizon, a posterunek obserwacyjny na górze Garadag nie spuszczał z oka chłuby Azerbejdżanu. Inny młody Azer imieniem Alasker obwiózł mnie landroverem wokół rozbudowującego się terminalu. Ekipy budowlane wznosiły zakład przetwarzania gazu ziemnego. Alasker wskazał w pewnym momencie na biały rurociąg wychodzący z jednego z zabudowań i prowadzący pod ziemię. Był to początek rurociągu Baku–Tbilisi–Ceyhan, projektu o wartości 2,9 miliarda dolarów, którym kaspijska ropa będzie docierać na głodne rynki Zachodu. Może przepompowywać milion baryłek dziennie, a dziś nastąpiła jego inauguracja. Pierwsza kropla ropy dotarła do tureckiego portu Ceyhan nad Morzem Śródziemnym.

Polityczne znaczenie rurociągu jest równie istotne jak gospodarcze. Przesyłając ropę naftową na odległość 1760 kilometrów przez Gruzję do Turcji (oba kraje są sojusznikami Ameryki), omija Rosję i Iran, zapewniając Zachodowi stały jej dopływ. Ropa naftowa to nagroda w Nowej Wielkiej Grze. Stany Zjednoczone, Rosja i Chiny agresywnie forsują w Azji Środkowej sojusze mające zapewnić dostawy energii i bezpieczeństwo. „Wszyscy chcą naszej ropy” – powiedział Alasker.

Wieczorem spotkałem się z Ahmedem. Poszliśmy do nadbrzeżnego parku na (bezalkoholowego) drinka. Tysiące imprezowiczów zapełniało kawiarnie, wesołe miasteczka i plac, gdzie w najlepsze trwał koncert azerskiej muzyki pop. Nad sceną górował wielki biały szyb naftowy udekorowany lampkami jak bożonarodzeniowa choinka. W tle świecił napis „BAKU TBILISI CEYHAN”. Była to impreza z okazji inauguracji rurociągu. Azerska gwiazda

popu zawodziła tęskną piosenkę, a pirotechnicy rozświetlili scenę, naprzeciw której wznosił się ogromny billboard z podobizną Hejdara Alijewa. O jedenastej wieczorem niebo wybuchło fajerwerkami, zalewając miasto ognistym kalejdoskopem kolorowego światła i pióropuszcami dymu. Ropa naftowa ponownie rozplómiła Baku.

\* \* \*

Przyjazd Mannerheima w 1906 roku także zbiegł się z ukończeniem największego rurociągu, jaki wówczas zbudowano. Budowniczy, Emanuel Nobel, był prezesem Nobel Brothers Petroleum Production Company i przyjacielem barona.

Dziadek Emanuela wyemigrował ze Szwecji do Finlandii, a następnie do Petersburga, gdzie konstruował miny dla rosyjskiego wojska, produkował broń i maszyny dla przemysłu. Miał trzech synów: Roberta, Ludviga i Alfreda. Ludvig, ojciec Emanuela, przemienił fabrykę Nobla w największą w Rosji wytwórnię lawet, robił też pierwsze nowoczesne karabiny. W marcu 1873 roku Robert pojechał do Baku w poszukiwaniu źródeł zaopatrzenia w tamtejsze drewno orzechowe do produkcji korpusów karabinów. Zamiast drewna kupił rafinerię ropy naftowej.

Baku od dawna było znane z ropy. Gdźieniegdzie czarny syrop wydobywał się z bulgotem z trzewi ziemi. W czasach starożytnych zoroastrianie odprawiali swe religijne obrzędy w świątyniach ognia tuż pod miastem. Marco Polo w XIII wieku wspomniał w swoich kronikach o nafcie z Baku. Z początku wydobywano ją z ręcznie kopanych szybów. Nowoczesne metody nastały dopiero wraz z przybyciem braci Noblów.

W 1877 roku Noblowie zbudowali pierwszy rurociąg łączący pole naftowe Balakhani z odległym o piętnaście kilometrów Czarnym Miastem, położonym nad zatoką skupiskiem dwustu rafinerii<sup>[66]</sup>. Dym, którym obficie rzygały kominy, pokrywał ulice i budynki czarną sadzą, stąd nazwa. Oczyszczoną naftę transportowano z początku do Petersburga w drogich drewnianych beczkach, ale rok później Noblowie zbudowali pierwszy w świecie tankowiec, „Zoroaster”. Dzięki tankowcom Baku stało się do 1890 roku najruchliwszym portem świata, globalnym ośrodkiem innowacji. Ludviga ogłoszono „naftowym królem Baku”<sup>[67]</sup>.

Bezlitosna geografia zadecydowała niestety o tym, że bakijska ropa znalazła się w granicach Imperium Rosyjskiego. Następnym przedsięwzięciem Nobla było więc zbudowanie linii kolejowej do Batumi, dzięki czemu ten czarnomorski port stał się ośrodkiem rafinacji i dystrybucji ropy. Droga przez góry była jednak tak stroma, że osiem cystern z ropą musiały ciągnąć dwie lokomotywy. Emanuel, który przejął firmę po śmierci ojca, użył więc czterystu ton dynamitu wynalezionej przez Alfreda, żeby przebić tunel. Do 1906 roku zbudował najdłuższy w świecie rurociąg liczący osiemset osiemdziesiąt kilometrów, który kosztował około dwunastu milionów dolarów<sup>[68]</sup>.

Z większości wydobytej ropy otrzymywano w drodze rektyfikacji naftę, która zapoczątkowała w Imperium Rosyjskim wiek oświelenia. Później kolejny wynalazek Nobla zrewolucjonizował jej zastosowanie: Szwedzi zaczęli używać olejów odpadowych jako paliwa do swoich masowców napędzanych dotąd węglem. Olej okazał się tańszy, czystszy i bardziej

niezawodny niż węgiel. Na przełomie stuleci floty wojenne i handlowe całego świata przestawiały się na to paliwo. Zapewnienie jego dostaw nabrało znaczenia militarnego i strategicznego. Stany Zjednoczone, gdzie przemysł naftowy bujnie się rozwijał, kontrolowały ponad sześćdziesiąt procent światowych zasobów<sup>[69]</sup>. Noblowie, budując nowy rurociąg, liczyli na podważenie amerykańskiej dominacji na światowych rynkach.

Straszliwe zniszczenia, do jakich doszło w 1905 roku, przekreśliły jednak marzenia Baku o rurociągach. Sam Mannerheim pozostał tutaj tylko przez dwie godziny. Sytuacja była nadal niebezpiecznie niestabilna. Owego lata nasilenie strajków w Baku osiągnęło szczyt. Każdemu arystokracji groziła śmierć lub obrabowanie przez rewolucyjnych bandytów.

O mało nie spotkało to Mannerheima dziesięć lat później. Baron i Emanuel Nobel byli razem w Petersburgu, kiedy w marcu 1917 roku rewolucjoniści obalili cara. Wybuchły zamieszki na tle głodowym, zaczęły się masowe buntury żołnierzy. Gdy imperium znalazło się na skraju przepaści, Mannerheim zachował się jak każdy szanujący się arystokrata: „Dokonałem wyczynu nie lada – pisał – zdobyłem bilet na przedstawienie baletowe w Teatrze Maryjskim”. Po przedstawieniu okazało się, że na ulicach panuje osobliwy spokój. Nobel zaproponował przechadzkę do pobliskiego klubu, gdzie często bywali członkowie Dumy. Zaspany portier powiedział, że tego wieczora nie ma tu żywej duszy. Na drugi dzień rano gniewny motłoch wypatrzył w Hôtel de l'Europe Mannerheima odzianego w mundur carskiego oficera. Uciekł on do biura Nobla. Prześladowców, jak wspominał później baron, „przepełniał rewolucyjny zapał, byli w niebezpiecznym nastroju”<sup>[70]</sup>. Przywdziawszy cywilny płaszcz, zmylił rewolucyjną gwardię i zdołał się przedostać do bezpiecznej rezydencji Nobla na drugim brzegu Newy.

Skończyło się pełne przywilejów życie arystokraty i przemysłowca. Bolszewicy znacjonalizowali całe naftowe imperium Nobla, a Mannerheim musiał uciekać do Finlandii, gdzie resztę życia spędził na walce z bolszewizmem.

\* \* \*

Prospekt Nobla jest dziś główną arterią przebiegającą przez całe Czarne Miasto. Za czasów radzieckich przemianowano go na Prospekt Robotników, ale po uzyskaniu niepodległości przez Azerbejdżan odzyskał dawną nazwę.

„Miasto się zmienia – powiedział Ibrahim, wskazując na dźwigi budowlane. – Wszędzie powstają wieżowce. Nikomu to się nie podoba”. Przytaknąłem, wspominając ponure oceny Steinara Gila.

Ibrahim, mój dzisiejszy przewodnik, był uroczo cyniczny. Ten krępy, łysiejący trzydziestoparolatek z brodą, w okularach, dorastał w czasach radzieckich, przeżył euforię związaną z upadkiem komunizmu, ale obserwując przekształcanie się kraju w dynastyczną kleptokrację, nabrał skłonności do ponurego kpiarstwa. Jego kolega Alam, facet o grubym karku, w ciemnych okularach, zgodził się obwieźć nas po mieście swoją ładą samarą.

U wjazdu na Prospekt Nobla wiodącego wzdłuż portu w kierunku wschodnim wznosi się

pomnik radzieckich robotników. Czarne Miasto jest nadal strefą przemysłową. Szpecą ją wagony kolejowe, dziesiątki cystern, rafinerii i stawów osadowych, nie mówiąc o fetorze nafty. W samym środku tej przerażającej okolicy znajduje się jednak oaza otoczona murami. Krętą boczną ulicą podjechaliśmy w górę na zamknięte osiedle, gdzie zaparkowaliśmy przed miniaturowym zamkiem. Był to słynny Dom Nobla.

Noblowie pomimo ogromnego bogactwa mieli raczej skromny gust, jeśli chodzi o architekturę. Mieszkali w piętrowej willi, której jedyną ozdobą była baszta z blankami na jednym z rogów. Wokół willi zbudowali na dziesięciu hektarach złożone z bungalów i budynków mieszkalnych osiedle dla kadry kierowniczej przemysłu naftowego. Importowano ziemię, rośliny, drzewa, a nawet wodę, by założyć bujne ogrody. Swoje tonące w zieleni schronienie Noblowie nazwali Villa Petrolea. Niestety, ogrody zarosły chwastami, zdziczały i wyschły. Wiele budynków też było zaniedbanych: farba obłaziła, stiuki popękały. Willa w kształcie zamku została jednak odrestaurowana. Turecki murarz powiedział nam, że Michael Nobel, bratanek Alfreda, dał pieniądze na jej renowację i przekształcenie w centrum konferencyjne, muzeum i Naftowy Klub imienia Nobla w Baku, ekskluzywny prywatny klub dla kadry kierowniczej. Miał zostać ukończony za dwa miesiące.

Pojechaliśmy dalej Prospektem Nobla, wspinając się na górujące nad zatoką wzgórze. Na jego szczycie orzeźwiła nas chłodna bryza. Po drugiej stronie zjechaliśmy w dół na rozpalony płaskowyż wyczerpanych pól naftowych. Opuszczona równina przedstawiała sobą obraz ekologicznej apokalipsy: piaszczysty krajobraz usiany był walącymi się wieżami wiertniczymi, przeciekającymi rurociągami, chwiejącymi się słupami trakcji elektrycznej, zardzewiałymi cysternami i płonącymi hałdami śmieci. Owce skubały skąpą roślinność na tyle odporną, że zdołała wykiełkować z przesiąkniętej ropą ziemi.

– Wyobraża pan sobie, że tu dorastają dzieci? – zapytał Ibrahim zszokowany widokiem walących się chałup zbudowanych wokół studni i stawu z toksycznymi odpadami. – Ta woda jest bardzo szkodliwa. Radioaktywna.

Skęciliśmy z powrotem w głąb lądu, na przedmieście Sabunchi. Tu znajdowała się siedziba Kompanii Naftowej Balakhani. Okazały budynek wyglądał znajomo. Uprzejmy starszy pan z krzaczastymi wąsami, poruszający się niezgrabnym krokiem, powiedział nam, że Noblowie zbudowali tę dzielnicę dla swoich robotników. „To też ich robota” – dodał, wskazując na obskurny budynek mieszkalny.

Naszą rozmowę podsłuchiwała właścicielka pobliskiego sklepiku.

– Nobel tu wszystko zbudował, ale teraz nie mamy wody – poskarżyła się, opierając zaciśnięte pięści na biodrach. – Od trzech miesięcy jesteśmy bez wody.

– Kiedyś było tu pięknie – stwierdził cicho starszy pan. – Teraz jest fatalnie.

Zabudowania sprawiały wrażenie zapuszczonych i przeludnionych.

– Ród Noblów zrobił bardzo wiele dla Azerbejdżanu. Oczywiście zarobili mnóstwo pieniędzy, ale budowali też dla ludzi.



Hussein, mężczyzna prowadzący kiosk, skwapliwie włączył się do rozmowy.

– Mogę o nich powiedzieć tylko dobre rzeczy. Kiedy Noblowie zaczęli tutaj szukać ropy, pobudowali dla robotników wszystkie te domy – powiedział, wskazując na fasady z szarej cegły.

Dzielnica składała się z dwudziestu jeden budynków z czterystoma mieszkaniami, była tu również biblioteka i szkoła dla dziewcząt. Sabunchi należało do pierwszych dzielnic w Baku wyposażonych w nowoczesne wodociągi i kanalizację. Wtedy były to jedne z najlepszych mieszkań dla robotników w całym mieście. Noblowie jako pierwsi zatroszczyli się także o opiekę medyczną, szkolenie zawodowe, znieśli pracę dzieci i zadbali o podstawową oświatę dla dzieci robotników. Dlatego podczas zamętu w 1905 roku zbuntowani robotnicy oszczędzili w znacznej mierze pola naftowe Nobłów. „Noblowie dorobili się majątku uczciwie i przestrzegając zasad w sposób, jaki rzadko się zdarza nawet w dzisiejszej Anglii – pisał w 1884 roku Brytyjczyk, który przybył do Baku. – Nadzwyczajna jest szczodrość, jaką okazują swoim robotnikom”<sup>[71]</sup>.

Spotkałem się później z Mirvari Gahramanli, przewodniczącą Komitetu Praw Robotników Przemysłu Naftowego. Krępa, sympatyczna kobieta z nostalgią opowiadała o przeszłości, o ściślejszym przestrzeganiu prawa pracy za czasów radzieckich oraz o charytatywnej działalności pierwszych baronów naftowych, którzy między innymi budowali parki publiczne, teatry i szkoły. „Bracia Noblowie byli bardzo hojni dla robotników naftowych – powiedziała. – W historii Azerbejdżanu odnotowani są jako dobrzy ludzie. Zawsze zajmowali się działalnością dobroczynną”. Z pogardą wyrażała się o współczesnym przemyśle naftowym, zwłaszcza o zagranicznych kompaniach finansujących skorumpowany reżim. Nieustępliwa działaczka straciła pracę, ponieważ próbowała organizować związek zawodowy, a podczas protestu przeciw fałszowaniu wyborów została pobita do nieprzytomności. „Bracia Noblowie pomagali biednym ludziom, nie tak jak obecny skorumpowany rząd” – podsumowała.

Domy mieszkalne zbudowane przez Nobłów były sto lat temu w lepszej formie, ale mimo zaniedbania wciąż wyglądały jak Bel Air w porównaniu z chałupami stojącymi wzdłuż drogi do Sabunchi. Zatrzymaliśmy się przy skupisku bud skleconych z cegieł, gliny, blachy falistej i desek szalunkowych. Przeciekające rury przecinały uliczki, na podwórkach stały pompy. Wielki dół wypełniały śmieci, opony i nafta. Śmierdziało przeraźliwie.

– Niech pan koniecznie zrobi zdjęcie! – zawołał Ibrahim.

Wskazał na błyszczące białe BMW zaparkowane przed obskurną chałupą. – To tutejsza mentalność – zachichotał. – Masz wóz pierwsza klasa, ale mieszkasz w ruderze.

Kilometr dalej rozciągało się pole naftowe Balakhani, dżungla elektrycznych przewodów, wież wiertniczych i mulistych sadzawek. Noblowie zaczęli tu głębokie odwierty nowoczesnymi metodami. Ropa tryskała raz za razem, niekiedy wytrysk trwał całymi dniami. Ale w 1900 roku wydajność pola Balakhani zaczęła spadać. Dziś ropa ledwo się sączy, większość szybów się wyczerpała. Zatrzymaliśmy się przy wyjątkowo fluorescencyjnej sadzawce. Przykucnąłem, żeby zrobić zdjęcie oleistej powierzchni. Opary okazały się tak trujące, że wracając do samochodu, zataczałem się od zawrotów głowy.



Wróciliśmy do śródmieścia na obiad, zasiedliśmy w kawiarni w cieniu morw. Jedliśmy słony kozi ser, *motal*, sałatkę z pomidorów i twardego kebab z jagnięciny, popijając sokiem ze świeżych śliw.

– Wczoraj wieczorem w nadmorskim parku odbyła się niesamowita impreza z okazji otwarcia rurociągu Baku–Tbilisi–Ceyhan. Było tam chyba całe miasto. Ty też? – zapytałem.

Ibrahim przewrócił oczami.

– To hipokryzja – jęknął. – Ludzie nic z tego nie będą mieli. Rząd zgarnie wszystkie pieniądze. Władze finansują wiele takich idiotycznych rozrywek.

Po obiedzie zabrał mnie na ulicę Tejmura Alijewa, żeby mi pokazać domy najbogatszych ludzi w kraju. Niewiele było do oglądania. Rezydencje jak strzeżone osiedla kryły się za wysokimi murami. Temperatura w samochodzie dochodziła do czterdziestu stopni. Koszula Ibrahima przesiąkała potem. Schroniliśmy się przed upałem w nadmorskiej kafejce. Ibrahim nadal dowodził, że ropa naftowa jest największym przekleństwem Azerbejdżanu – korumpuje życie publiczne, wypacza gospodarkę, finansuje bezwzględny despotę. Nawet port jest nią skażony. Wybraliśmy stolik z daleka od falochronu, żeby nie czuć fetoru plam ropy. Ibrahim jak wielu Azerów, z którymi rozmawiałem, miał pretensje do Zachodu za to, że swoje interesy naftowe przedkłada nad prawa człowieka w Azerbejdżanie. „Marzy mi się, że pewnego dnia szyby naftowe wyschną. Może wtedy będziemy mieli szansę na demokrację”.

Miesiąc wcześniej Thomas L. Friedman, felietonista „New York Timesa”, opublikował w „Foreign Policy” artykuł o „pierwszym prawie polityki naftowej”. „W bogatych państwach naftowych – pisał – cena ropy i tempo osiągania wolności zawsze zmiernają w przeciwnych kierunkach. [...] Im bardziej rosną przeciętne globalne ceny tego surowca, w tym większym stopniu ograniczana jest swoboda wypowiedzi, wolność prasy, wolne i uczciwe wybory, niezależny wymiar sprawiedliwości, rządy prawa i niezależne partie polityczne”<sup>[72]</sup>. Na nieszczęście dla Ibrahima ceny ropy osiągnęły właśnie światowy rekord.

– Przewiduje się, że ropy wystarczy jeszcze na pięćdziesiąt lat – ubolewał. – Ponieważ średnia długość życia wynosi tutaj sześćdziesiąt lat, nigdy chyba nie zobaczę demokracji w Azerbejdżanie.

\* \* \*

Ostatniego wieczora w Baku poszedłem na kolację z Fikrinem, przysadzistym młodym prawnikiem pracującym dla Transparency Azerbaijan, sekcji międzynarodowej organizacji, która prowadzi walkę z korupcją. To on pomógł zorganizować mój pobyt w Baku, zaprosiłem go więc do restauracji na dachu z widokiem na Zatokę Bakijską. Zabierając się do szaszłyka z jesiotra, Fikrin ubolewał nad rozbiorem historycznych ziem Azerów przez sąsiednie kraje. Blisko szesnaście milionów Azerów mieszka w Iranie, trzysta tysięcy w Gruzji, niedawno zaś Armenia z pomocą Rosji zagarnęła etniczną enklawę Górski Karabach. Stało się to po długiej wojnie w latach dziewięćdziesiątych. „Los Azerbejdżanu związany jest z geografą i geologią,

ziemią i ropą – powiedział Fikrin. – To kraj tranzytowy między Wschodem a Zachodem”.

Fikrin pomógł mi kupić bilet na prom do Turkmenistanu odpływający następnego dnia rano. Zapłaciłem śmieszłą sumę, sześćdziesiąt amerykańskich dolarów. Naczelnik portowej policji poprosił o drobne zapewne po to, żeby rozdzielić hojny dar między swoich kolegów o lepszych palcach. Na pokładzie starego radzieckiego frachtowca znalazło się poza mną tylko czterech cudzoziemców: grubo ciosany Australijczyk, przystojny Duńczyk, Anglik o wyglądzie mola książkowego i amerykański student. Załoga z nagimi torsami wyglądała jak grupa rozbitków. Na krótko pokazał się mężczyzna w koszuli oficera. Gdyby nie to, można byłoby odnieść wrażenie, że statkiem dowodzą dwudziestoletni kadeci.

Przed wyjazdem z Baku kupiłem książkę, żeby mieć co czytać podczas podróży przez morze. Rena Safaralijewa, dyrektor wykonawcza Transparency Azerbaijan, poleciła mi powieść *Ali i Nino* Kuršana Saída, tajemniczego autora, który urodził się jako Lew Nussimbaum i spędził dzieciństwo w Baku przed pierwszą wojną światową. „Choć akcja rozgrywa się w czasach poprzedniego boomu naftowego, obecny jest w zasadzie taki sam – powiedziała. – To książka o przemianie Baku z sennego mużułmańskiego miasta w ośrodek przemysłu naftowego”.

Próbowałem czytać w swojej brudnej kajucie, ale nie wytrzymałem gorąca i wilgoci. Skórę miałem śliską od potu. Wszedłem na górny pokład, gdzie zastałem opalającego się Duńczyka Martina. Zachodzące słońce było czerwone jak wiśnia maraschino, a niebo skapanie w smugach barwy różowej, cytrynowej i pomarańczowej przypominało tropikalny koktajl. „Najpiękniejsze zachody słońca są na zanieczyszczonym niebie” – powiedział w zamyśleniu Martin. Z płytkiej zatoki wystawały czarne wieże wiertnicze, pogłębiając surrealizm tej sceny.

Usiadłem na zawietrznej, gdzie docierał rześki powiew, i pogrążyłem się w lekturze. Powieść rozgrywająca się w czasach rewolucji rosyjskiej opowiada o młodym tatarskim księciu, który zakochał się w gruzińskiej księżniczce. Ich życie – metafora Baku – rozdarte jest między islamem a prawosławiem, Wschodem a Zachodem, tradycją a nowoczesnością. Ropa naftowa została przedstawiona jako przekleństwo przynoszące nieszczęście wszystkim i wszystkiemu. Baku jest „nieustannie dręczone wiertłami drążącymi ziemię w poszukiwaniu ropy naftowej” – pisał Saíd<sup>[73]</sup>. Pod koniec, gdy wybucha rewolucja, młodzi kochankowie uciekają łodzią z Baku. Ostatni widok miasta zapada im w pamięć jak mnie: „miasto znikające w ciemnościach. Czarne wieże wiertnicze wyglądały jak ponurzy więzienni strażnicy”<sup>[74]</sup>.

### 3. Turkmenistan: strach i odraza

Kto sam zmienia się w bestię, nie pozna bólów człowieczego losu.

Samuel Johnson

Dobijając do południowo-wschodniego wybrzeża Morza Kaspijskiego naprzeciwko Baku, Mannerheim znalazł się w niespokojnej, zapomnianej wysuniętej placówce na obrzeżach Imperium Rosyjskiego. „W poniedziałek rano dotarliśmy do Krasnowodzka, niewielkiego miasta ładnie położonego na nagim, skalistym brzegu – pisał szesnastego lipca. – Port był pusty, domy małe, parterowe, o płaskich dachach. Żadnych drzew ani krzewów: tropikalny upał i ogromne masy kurzu. Miasto otaczają wysokie, nagie wzgórza. Po około siedmiu miesiącach spędzonych w Europie znalazłem się znów na azjatyckiej ziemi”.

Z pokładu statku, kilka kilometrów od brzegu wypatrzyłem Krasnowodzka. Pasował do opisu Mannerheima: zbiorowisko niskich budynków, które na tle poszczerbionego masywu wydawały się jeszcze mniejsze. Port był martwy. Kilka zardzewiałych frachtowców z czasów radzieckich i szara łódź patrolowa cumowało nieopodal beczynnych dźwigów i pustych magazynów. Ani żywej duszy. Jeden statek zatopiono w doku, jego skorodowana nadbudówka wystawała z turkusowego morza, co wyglądało dość upiornie. „Z pewnością jesteśmy w Azji” – skomentował mój australijski towarzysz podróży.

Naszą piątkę skierowano do gabinetu lekarskiego. Czułem, że mam gorączkę, byłem odwodniony, gardło mi spuchło, a usta popękały. Podczas nocnej podróży było gorąco nie do wytrzymania. Na statku zabrakło butelkowanej wody, strasznie mi się chciało pić. Spałem może przez trzy godziny. Turkmeński funkcjonariusz zanurzył termometr w alkoholu i wetknął mi pod spoconą pachę. Czekałem cały w nerwach.

To pobieżne badanie lekarskie było ostatnią przeszkodą, jaką pokonałem, by dostać się na teren najosobliwszej i najbardziej tajemniczej dyktatury na naszej planecie. Zagranicznym dziennikarzom, prawnikom, działaczom na rzecz praw człowieka, a nawet nauczycielom zakazano wjazdu do Turkmenistanu. W wydostających się stąd relacjach opisywano kraj rządzony przez tyrana utalentowanego jak Liberace i okrutnego jak Stalin.

Ze wszystkich oszołomów z Azji Środkowej – a nie brakuje ich tutaj – Saparmurat Nijazow jest najbardziej odjechany. Ogłosił się dożywotnim prezydentem i Turkmenbaszy – „przywódcą Turkmenów”. W całym kraju pobudował pomniki, pałace, meczety i monumenty sławiące jego rządy – istna orgia kiczowatej pychy. Przemianował nawet Krasnowodzka na Turkmenbaszy. Zakazał opery i baletu, zabronił noszenia bród, złote zęby uznał za niehigieniczne, pozamykał biblioteki i wiejskie szpitale, a swoim prawdziwym i wymagowanym wrogom wytoczył pokazowe procesy w stalinowskim stylu. Dowiedziałem się o nim po raz pierwszy z artykułu

w „New York Times Magazine” zatytułowanego *Kiedy megalomański dyktator kleptokrata schodzi na złą drogę*. Całe to szaleństwo finansowały dochody z zasobów gazu ziemnego należących do największych w świecie<sup>[75]</sup>.

Ku mojemu zaskoczeniu termometr pokazał normalną temperaturę. Kazano mi zejść na pokład ładunkowy zapchany cysternami kolejowymi. Przybyłem w samą porę. Należałem do ostatnich przybyszy z zagranicy, którzy mogli na własne oczy oglądać końcowe, obłąkane dni tego „Stanu jedynowładcy”<sup>[76]</sup>. Kilka miesięcy później Nijazow zmarł, podobno na atak serca.

Po zejściu na ląd poczułem się jak w innym świecie. Na nijakim budynku komory celnej wisiał portret Nijazowa. Miał kruczoczarne włosy z trójkącikiem zarastającym środek czoła, zmarszczone brwi i pulchne policzki. Przy wejściu stało jego złocone popiersie.

– Wygląda jak małpa – skomentował jeden z moich towarzyszy podróży.

– Planeta małp – dodał inny z moich pleców.

Porównanie było trafne. Bez wątpienia przeżywałem napięcie, jakbym wylądował na innej planecie. Otoczenie wyglądało jak z Marsa: przytłaczający upał, oślepiające słońce, kurz, niepokojąca cisza. Góry, pasmo różowawej skały jak z innego świata, były pozbawione roślinności. Nijazow też wydawał się kimś z innej planety, a jego gust architektoniczny kojarzył się z kosmosem: stadion w stolicy pokryty ni mniej, ni więcej tylko złotem wyglądał jak gigantyczny latający talerz.

Agent biura podróży organizującego moją podróż po Azji Środkowej ostrzegł, żebym nie opuszczał portu bez oficjalnego przewodnika przydzielonego przez władze. Tatiana okazała się seksbombą po trzydziestce. Miała mleczną cerę, włosy blond, usta pomalowane jaskrawoczerwoną szminką. Ta bezceremonialna Białorusinka – w pewnym momencie powiedziała do policjanta „odpieprz się” – należała do nielicznych rosyjskojęzycznych osób, które pozostały tu po upadku Związku Radzieckiego. Kiedy mnie zabierała od grupy, moi towarzysze podróży uśmiechali się wymownie i robili do mnie oko. Siwy ormiański kierowca ze złotymi zębami czekał na nas w nissanie pathfinderze.

Wjechaliśmy do miasta drogą, po której obu stronach wznosiły się dziewiętnastowieczne domy w stylu kolonialnym. Śródmieście okazało się jednak zbiorowiskiem szkaradnych betonowych bloków z epoki radzieckiej oraz postmodernistycznych budowli. Dawny Krasnowodzk ginął, władze równały z ziemią postkolonialną architekturę, w tym ormiański kościół apostolski i meczet. Na głównym bazarze wymieniłem pieniądze u ciemnego chuderlawego Turkmena, który w kilku reklamówkach trzymał zapas miejscowej waluty, manatów. (Kurs czarnorynkowy był pięć razy korzystniejszy od oficjalnego). Upchnąłem do torby czterysta siedemdziesiąt tysięcy manatów, równowartość około dwudziestu dolarów. Pojechaliśmy dalej do konstruktywistycznego monstrum o nazwie Hotel Hazar, choć Hazard lepiej by pasował. Hotel był zapuszczony i brudny. Z balkonu skinęły na nas dwie prostytutki. W foyer na piętrze stara kobieta gotowała wodę na herbatę w wiadrze na otwartym ogniu. Woda była w kranach tylko od siódmej do dziesiątej wieczorem. Mój pokój okazał się mały, z nierównym łóżkiem i toaletą wydzielającą fetor, od którego łzy napływały do oczu.

– Przepraszam za ten hotel – powiedziała Tatiana. – Nie mogłam załatwić nic innego.

– W porównaniu ze statkiem jest tu jak w raju – odparłem, odetchnąwszy z ulgą na widok klimatyzatora.

W odróżnieniu ode mnie Mannerheim przebył morze „wygodnie i szybko”, w przestronnej sali jadalnej „dobrze karmiono”. Ale nawet baronowi potrzebna była balneoterapia. „Orzeźwiająca kąpiel w czystej zielonej toni Morza Kaspijskiego – pisał – dodała mi siłę, dzięki czemu mogłem znieść upał, który z początku wydawał się obezwładniający”. Po mojej koszmarnej podróży przez morze zapragnąłem wziąć z niego przykład.

Piaszczysta plaża znajdowała się trzy kilometry na północ od miasta. Piasek usiany był plastikowymi butelkami, skórkami od melonów i pustymi paczkami po papierosach. Zauważyłem dwie zdechłe ryby. Chłodna turkusowa woda okazała się jednak czysta i orzeźwiająca. Pływałem na plecach, wpatrując się w piękne błękitne niebo. Później, zanurzając palce nóg w gorącym piasku, dokończyłem lekturę *Ali i Nino*. Tatiana też się na krótko zanurzyła, ale resztę czasu spędziła ukryta w SUV-ie, paląc papierosy. (Nijazow zakazał palenia w miejscach publicznych). Plażowiczów było zaledwie kilkoro. Nieopodal turkmeńska rodzina robiła sobie zdjęcia i bawiła się nadmuchiwanym wielorybem. Przez chwilę życie w Turkmenistanie wydało się nienormalnie normalne.

Wieczorem zjedliśmy kolację w Deniz Patisserie Café, gdzie według przewodnika „można się wygodnie schronić, jeśli ktoś mieszka w hotelu Hazar”. Usiedliśmy na zewnątrz, owiała nas chłodna wieczorna bryza. Nad szarym niebem nad głowami Tatiana i ja rozmawialiśmy. Wydawnictwo Dialog (e) Copyright edycja elektroniczna

– Nigdy nie wyjechałabym z Turkmenistanu do Gruzji, Armenii czy Rosji – odparła. Siedemdziesiąt pięć litrów benzyny kosztuje dolara, za dostawę elektryczności do domu przez trzy lata płaci się dwadzieścia dolarów, a telefon Tatiana ma za darmo. – Turkmenistan jest jak raj – wygłosiła oficjalne stanowisko. – Tak powinien wyglądać komunizm.

\* \* \*

W 1869 roku na południowo-wschodnie wybrzeże Morza Kaspijskiego przyplłynął z Pietrowska niewielki rosyjski oddział. Była to tajna operacja. Rosjanie nie chcieli zwracać uwagi Brytyjczyków kontrolujących położony dalej na południu Afganistan. Zbudowali garnizonowe miasto Krasnowodzk, które miało być przyczółkiem do podboju Azji Środkowej. Nie udało im się ostatecznie zdobyć fortecy Gökdepe odległej o kilkaset kilometrów na południe po drugiej stronie pustyni Karakorum. Po tej pierwszej porażce sprowadzili specjalny batalion kolejowy, żeby położył tory do skraju pustyni i pociągnął je dalej. Kolej Transkaspjska wbiła się ostatecznie w serce Azji Środkowej. Kozacy masakrowali i pacyfikowali miejscowe plemiona turkmeńskie i oblegali chanaty. Turkmeni z szablami, choć tak odważni i świetnie jeżdżący konno, nie byli równymi przeciwnikami dla dynamitu, ciężkiej artylerii i nowoczesnych karabinów szybko i bez problemu sprowadzanych koleją. Do końca lat dziewięćdziesiątych XIX wieku linia kolejowa dotarła prawie do granic Cesarstwa Chińskiego. Żelazna nić siłą przyszyła Jedwabny Szlak do imperialnego gobelinu Rosji.



Ostrzeżono mnie, że warunki na kolei niewiele się poprawiły od czasów podróży Mannerheima. „Brudna kuchnia, zaimprovizowany, trzęsący się wagon restauracyjny na czterech kołach, wagony prażące się w słońcu, brudne, postrzępione siedzenia, niedopasowane drzwi – wszystko sprawiało wrażenie chaosu i braku organizacji” – pisał baron. Ja na szczęście miałem przejechać przez pustynię do Aszhabadu, stolicy Turkmenistanu, klimatyzowanym SUV-em Tatiany.

Życie w Turkmenistanie stanowi margines. Około osiemdziesięciu procent kraju nieco większego od Kalifornii to niegościnna pustynia. Pięć milionów mieszkańców wegetuje głównie na jej obrzeżach. Siły bezpieczeństwa surowo ograniczają swobodę przemieszczania się. Zaraz za Turkmenbaszy zatrzymano nas na pierwszym z pięciu wojskowych punktów kontrolnych, które napotkaliśmy na sześciuset kilometrach naszej trasy. Szosa wspięła się na płaskowyż równoległe do linii kolejowej i towarzyszyła jej przez słoną pustynię aż do stolicy. Poboczem wędrowały wielbłądy, owce wzbijały kopytkami tumany kurzu. Zatrzymaliśmy się na bazarze w Balkanabacie, przygnębiającym mieście z epoki radzieckiej, żeby przed podróżą przez pustynię zaopatrzyć się w jedzenie i wodę. Gdy wysiadło się z samochodu, człowiek miał wrażenie, jakby wszedł do pieca. Na pustyni Karakum temperatura sięga pięćdziesięciu pięciu stopni. Już bez zatrzymywania się pomknęliśmy na południe w stronę pasma górskiego Köpetdag, które ciągnie się wzdłuż granicy z Iranem. W pewnym momencie wypatrzyłem w oddali migoczącą taflę wody, może jezioro. Tatiana też to zauważyła. „Miraż” – powiedziała.

Także Mannerheim nie widział nic poza „bezkresną równiną”. Z dusznego pociągu na próżno wypatrywał śladów życia. „Tu i tam – pisał – migną w oddali Turkmeni dosiadający swoich pięknych, wysokich koni podobnych do angielskich pełnej krwi albo kołyszący się na grzbietach wielbłądów, których chwiejny chód jest wyjątkowo nieprzyjemny dla jeźdźcy”. Turkmeni byli tradycyjnie koczowniczymi hodowcami koni. Rolnictwo na pustyni nie istniało, nie było tu warunków. „Jedyne widoczne oznaki życia to parę niepokąźnych stad owiec, kilka wielbłądów z siodłami na grzbietach, pasących się na ziemi, gdzie trudno wypatrzeć źdźbło trawy” – relacjonował baron. Ale u podnóża Köpetdag pustynia się w cudowny sposób zazieleniła.

Sowieci zbudowali Kanał Karakumski, by wykorzystać wody Amu-darii, odległej o 1375 kilometrów na wschód. Nawadnia on uprawy bawełny. Autostrada, linia kolejowa i kanał stanowią życiodajną arterię dla dziesiątków rolniczych osad. „Wszyscy z wyjątkiem dzieci szkolnych, nawet starsi ludzie, muszą do siódmej wieczorem zbierać bawełnę na polach – wyjaśniła rzeczowo Tatiana. – Miasta pustoszeją, ludzi wysyła się na wieś”. Od września do listopada kraj zmienia się w obóz pracy. Tatiana, zawodowa wiolonczelistka o delikatnych rękach, została zwolniona z tego obowiązku. „Dziękowałam Bogu, że nie muszę jechać na plantację”.

Dojeżdżając do stolicy, minęliśmy Gökdepe, dawną turkmeńską twierdzę. Tatiana opowiedziała mi, że w 1881 roku wojsko rosyjskie wykopało tunel pod murami i wysadziło ją w powietrze. Bezprzykładna rzeź i gwałty wzburzyły Europę. „Cały kraj usiany był trupami – wspominał jeden ze świadków. – Sam widziałem dzieci nadziane na bagnety albo pocięte na

kawałki. Wiele kobiet przed śmiercią zgwałcono”<sup>[77]</sup>. Rosjanie wyrównywali stare porachunki: turkmeńscy rozbójnicy i łowcy niewolników od setek lat napadali na ich karawany i ekspedycje. W pobliżu historycznych ruin prezydent Nijazow wybudował ogromny futurystyczny meczet o odimiennej nazwie Saparmurat Hadżdżi. Tatiana poinformowała mnie, że świątynia szczyli się włoskimi marmurami i czeskim żyrandolem ważącym dwie tony. Nie zajechaliśmy do niej, wiedzieliśmy bowiem, co czeka nas dalej.

W Kipczaku (Gypjak) znajduje się największy meczet Azji Środkowej. Przez rozległy marmurowy plac, koło tryskających fontann, prowadzi droga do ogromnej złotej kopuły otoczonej ośmioma minaretami o wysokości osiemdziesięciu metrów. Meczet Saparmurata Turkmenbaszy ma siedem tysięcy metrów kwadratowych. Wyposażony jest w podziemny parking, kuchnię, która może wyżywić pięć tysięcy osób, i salę modlitewną mieszczącą dziesięć tysięcy wiernych. Jak wyjaśniła mi Tatiana, budowa i symbolika meczetu mają ścisły związek z życiem Nijazowa. Prezydent urodził się 19 lutego 1940 roku w Kipczaku. Jego ojciec zginął podczas drugiej wojny światowej, a matka i dwóch braci ponieśli śmierć w straszliwym trzęsieniu ziemi w 1948 roku, którego ofiarą padło ponad sto dziesięć tysięcy ludzi. Nijazow wychowywał się w radzieckim sierocińcu. Wspiął się po szczeblach kariery, został naczelnym aparaczką Turkmeńskiej SRR, a następnie prezydentem niepodległej republiki. Cudowne ocalenie i późniejszy awans sprawiły, że uwierzył, iż jest prorokiem.

„Muzułmanie mają świętą księgę, Koran – tłumaczyła z całą powagą Tatiana – a naszą świętą księgą jest *Ruhnama*. *Ruh* znaczy dusza, *nama* to księga. Opowiada historię Turkmenów od samego początku. W odróżnieniu od tradycyjnego meczetu, na którym wokół kopuły widnieją cytaty z Koranu, na meczecie Turkmenbaszy wyryte są cytaty z *Ruhnama*”.

Ten „słodki owoc ducha”, jak określił Nijazow swoje donkiszotowskie rozmyślenia, był dla Turkmenów tym, czym dla mormonów księga Josepha Smitha. Nijazow przydał swojemu kultowi jednostki boską aurę. Nie ulega wątpliwości, że wydawał się wszechmocny (systematycznie rozprawiał się z wrogami) i wszechwiedzący: telefony były na podsłuchu, informatorzy mieli wszystko na oku, pocztę elektroniczną monitorowano, w urzędach i hotelach zamontowano podsłuchy. Teraz jednak Nijazow sprawiał wrażenie pasterza bez owczarni. Kolosalna sala modlitw była pusta. Pod ogromną złoconą kopułą krążyły trzy ptaszki. Nijazow mógłby sobie przypisać, że posiada jeszcze jedną unikatową atrakcję: największą w świecie ptaszarnię.

Do Aszchabadu było już tylko dziesięć kilometrów. Miasto nazwano Las Vegas Azji Środkowej, a nazwa ta nie zawodziła związanych z nią oczekiwań. Stolica licząca siedemset tysięcy mieszkańców utrzymana jest w stylu pałacu Cezara. Pełno tu fontann, pomników, kopuł, białych pałaców, ogromnych placów, lustrzanych powierzchni ze szmaragdowego szkła, kolumn korynckich, rzymskich łuków i włoskich marmurów. Zajmujący trzydzieści trzy hektary park rozrywki przedstawiający między innymi turkmeński folklor i bajki ludowe – jest tu też diabelski młyn, czarodziejski dywan, teatr marionetek i kolejka górską przerzuconą nad miniaturą Morza Kaspijskiego – był już prawie na ukończeniu. Budynki nieutrzymane w stylu

rymskim wyglądały jak z innego świata. Dziesięciopiętrowy wieżowiec, Dom Swobodnej Twórczości, miał kształt otwartej książki. Inny rządowy wysokościowiec podejrzanie przypominał fallusa penetrującego pochwę.

Nawet Nijazow wyglądał jak członek grupy Rat Pack – „tłusty, wyszczerzony Dean Martin” według określenia pewnego reportera<sup>[78]</sup>. Wzorem Juliusza Cezara, który nazwał swoim imieniem miesiąc lipiec (*July*), Nijazow nadał swoją ksywę styczniowi. Był w końcu jedynym w tym mieście punktem programu. Jego podobizna widniała wszędzie: na budynkach, książkach, kartkach pocztowych, znaczkach, ekranach telewizorów, billboardach, pieniądzach, nawet na butelkach wódki.

Wynająłem dwudziestodwuletniego taksówkarza, żeby obwiózł mnie po mieście.

– Turkmenbaszy patrzy na ciebie – zażartował Arslan, gdy mijaliśmy ogromny przydrożny billboard.

– Co myślisz o prezydencie?

– To miły, dobry człowiek – odparł Arslan. – Chce pokoju dla całego świata. Rozumiesz mnie? Pokoju. Dla wszystkich. Jest bardzo inteligentny.

– Nie sądzisz, że za dużo tych pomników, billboardów i plakatów z prezydentem?

– Jesteśmy młodym krajem – stwierdził rzeczowo – a to nasz pierwszy prezydent. Musimy uczcić naszą niepodległość.

– No dobrze, ale nie uważasz, że Nijazow przegina?

– Nie, to normalne.

\* \* \*

O „normalności” Turkmenistanu przekonałem się pierwszego wieczoru w Aszchabadzie. Tatiana zarezerwowała mi pokój w Hotel Rahat w słynnej strefie rozrywkowej miasta – też zapożyczenie z Las Vegas. Okazało się, że jestem jedynym gościem. W Aszchabadzie cudzoziemcom wolno poruszać się bez opiekuna. Z ulgą pozbyłem się Tatiany, która zrobiła się już lakoniczna i chłodna.

Pojechałem taksówką do śródmieścia na kolację. Sześciopasmowa autostrada, wzdłuż której wznosiły się lśniące budynki mieszkalne pokryte białym marmurem, była pusta, co robiło niesamowite wrażenie. Zjadłem jagnięce kotlety i tuż przed jedenastą wyszedłem na ulicę, rozglądając się za taksówką, która zawiozłaby mnie do hotelu. Przy Łuku Neutralności, ogromnym monumencie w kształcie przepychacza do zlewu uwieńczonego złotym posągami Nijazowa obracającym się za słońcem, drogę zastąpił mi żołnierz.

– Paszport? – zapytał.

Pokazałem mu pozwolenie na podróż i kserokopię paszportu. Spojrzył na mnie krzywo.

– *Polis* – powiedział.

Uśmiechnąłem się niewinnie.

Złapał się za przeguby, imitując gest nakładania kajdanek, po czym wskazał na mnie. Najwyraźniej zostałem aresztowany.

Miesiąc wcześniej Nijazow oskarżył francuskich dyplomatów o szpiegostwo i podżeganie do zamieszek. Tajna policja aresztowała kilkoro działaczy na rzecz praw człowieka i dziennikarkę, którą nafaszerowano narkotykami, przesłuchiowano przez całą dobę i pobito. (Kilka tygodni po moim wyjeździe z Turkmenistanu oddali rodzinie jej zmaltretowane ciało). Także rosyjski dziennikarz spędził niedawno dwa tygodnie w turkmeńskim więzieniu. Staralem się nie okazywać zdenerwowania. Napinając mięśnie twarzy, zrobiłem niewinną i łagodną minę.

Podjechało niebieskie nieoznakowane BMW z przyciemnionymi szybami. Kazali mi wsiąść. Poczulem się jak Alicja wpadająca w króliczą norę. Zawieźli mnie do ciemnego, zalesionego kompleksu koło pałacu prezydenckiego, gdzie przeszukali mi kieszenie i torbę. Zakłopotany policjant przyłożył do ucha mój aparat fotograficzny.

– Komórka? – zapytał.

– Nie, aparat. *Fotoaparát*.

Zjawilo się dwóch tajniaków w cywilu, którzy przewieźli mnie na posterunek policji, obskurny budynek z czasów radzieckich w pobliżu restauracji, w której byłem. W zapuszczonym holu stało wielkie drewniane biurko. Sierżant sztabowy spojrzal na mnie groźnym wzrokiem, warknął, wydając kilka rozkazów, i roześmiał się z własnych prób zastraszenia mnie. Zareagowałem słabym uśmiechem. Znów przeszukali mi kieszenie i torbę.

– Co ty tu robisz, Eric! – krzyknęła Tatiana, wpadając na posterunek. – Co to za głupota?

Dobre pytanie. Musiałem dopiero rozgryźć, dlaczego właściwie mnie aresztowano. Tatiana zaczęła tłumaczyć i odpowiadać po rosyjsku na pytania. Klapnąłem na drewnianą ławę obok zawodzącego pijaka i dwóch pięknych kobiet w tradycyjnych aksamitnych sukniach i dobranych do nich butach ozdobionych błyskotkami. Okazało się, że to prostytutki. Po godzinnym przesłuchaniu zdenerwowana Tatiana poszła do samochodu po papierosa.

– To poważna sprawa – powiedziała, kiedy wróciła. – Rano będę miała całą kupę papierkowej roboty.

Była trzecia nad ranem. Odpłynąłem półprzytomny w niespokojną drzemkę. Głośne hałasy odbijały się echem w korytarzach i w mojej głowie: kroki, krzyki, szepty, szelest papieru, pbrzękiwanie kluczy, trzaskanie drzwiami, wrzask. Nagle wszystko ucichło. Otworzyłem oczy. Policjanci włożyli czapki i zeszywnieli, stając na baczność. Wkroczył wyższy rangą srebrzystosiwý aparatczyk, którego epolety ociekały złotem. Zdjął wielką czapkę w radzieckim stylu i ostrożnie otworzył futerał od okularów. Umieścił je na końcu bulwiastego nosa i wczytał się w papiery dotyczące mojej sprawy. Tatiana jeszcze raz przetłumaczyła moją historię. Nachmurzył się, zatrzasnął futerał, zasalutowował i wyszedł.

– Co teraz będzie? – zapytałem.

– Musimy poczekać na innych funkcjonariuszy.

– Co to za jedni?

– Odpowiednik KGB.

Ścisnęło mnie w żołądku, poczułem, że nie panuję nad jelitami.

– Muszę do toalety.

Przyjazny funkcjonariusz z odstającymi uszami zaprowadził mnie do wychodka za posterunkiem. Światła nie było, policjant zatkał nos, sugerując, żebym zrobił to samo. Przez okienko wpadała słaba księżycowa poświata. Z początku było ciemno jak w kominie. Co robić? Policjanci przeoczyli dwa notesy z moimi reporterskimi zapiskami, które miałem w bocznych kieszeniach spodni. Czy wrzucić je do klozetu? A jeśli tajniacy je odkryją? Czy pobiją mnie, poddadzą torturom lub wtrącą do więzienia jak innych dziennikarzy? W końcu ukryłem je w kroku, w workowatych spodniach nie było ich widać.

Zjawiło się trzech agentów Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego – KNB. Mieli po czterdzieści parę lat, byli krótko ostrzyżeni i ubrani w białe koszule z krótkimi rękawami i czarne spodnie. Jeden miał u pasa kaburę z pistoletem. Najstarszy rangą, przysadzisty, z dziobatą twarzą i pustym wzrokiem, przejrzał moje rzeczy i zdjęcia. Kazał mi czytać na głos dziennik podróży, Tatiana tłumaczyła. Pod koniec pierwszej strony przewróciła oczami i powiedziała po rosyjsku coś w rodzaju: „Czy to naprawdę konieczne?”.

Wtedy zaczął ją przesłuchiwać.

– Jesteś jego kochanką? prostytutką?

– Dajcie spokój! – warknęła. – Pracuję w państwowej agencji turystycznej. Jestem służbowo. Zadne takie!

– I co teraz? – zapytałem, kiedy agenci wyszli.

– Powiedzieli, że przetrzymają cię do rana w Urzędzie Imigracyjnym.

Urząd był o pięć minut drogi stąd.

– Musisz tu zostać na noc – powiedziała Tatiana, zanim wyszła. – Zapewnili, że nic złego ci nie zrobią.

Niepokojące było to, że musiała mnie uspokajać. Była czwarta rano. Z niewyspania zaczynałem majaczyć. Poczułem, że oblażło mnie robactwo. Pilnujący mnie żołnierz podszedł i rzeczywiście zaczął zdejmować mi z szyi mrówki. Gryzły mnie po całym ciele. Przerażony wybiegłem na zewnątrz, zdzierając z siebie koszulę i strząsając żarłoczne mrówki ku rozbawieniu żołnierza i czuwającego agenta KNB.

Pokąsany przez mrówki, majaczący i wykończony wcisnąłem się w kąt służbowej kanapy i próbowałem zasnąć. Obudziłem się po trzech godzinach. Jasne słońce zalewało pokój, aż oczy mnie zaszczypały. Przyszli kolejni funkcjonariusze, żeby znów zadawać te same pytania. Skąd pan jest? Co pan robił? Dlaczego był pan na mieście o tak późnej porze?

– Nieświadomie popełniłem błąd – powiedziałem do urzędnika imigracyjnego.

– A więc przyznaje się pan?

– Tak, przyznaję się. To moja wina, mój błąd.



Dowiedziałem się nareszcie, co zrobiłem nie tak. Wręczono mi kartkę i kazano podpisać zeznanie. Po jego odczytaniu urzędnik podyktował akapit, który dopisałem pod spodem:

„Nie byłem świadomy, że cudzoziemcom nie wolno po godzinie 23:00 przebywać w mieście bez przewodnika. Przyznaję się, że popełniłem błąd, i obiecuję przestrzegać wszystkich przepisów obowiązujących w Turkmenistanie. Nie zgłaszam żadnych pretensji wobec funkcjonariuszy Urzędu Imigracyjnego.

Zjawiała się Tatiana. Miała wory pod oczami, ubrana była w to samo, co poprzedniego wieczoru, ale zdążyła się pomalować karmazynową szminką. Odwiozła mnie do hotelu. Gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi od pokoju, wybuchnąłem: „Co za pieprzony koszmar...”.

Nie dokończyłem, zmroziło mnie spojrzenie Tatiany. Powoli przewróciła oczami najpierw w kierunku sufitu, a potem znów w dół, spoglądając w moje zmęczone oczy. Nachyliła się ku mnie i szepnęła: „Ktoś mógłby usłyszeć”.

\* \* \*

Mannerheim miał niewiele do powiedzenia na temat Aszchabadu. Napisał, że jest to „miasteczko w zielonej oazie. Konie są tu wyjątkowo piękne i eleganckie. Niestety, nie miałem okazji ich sfotografować. Turkmeni są wysocy, szczupli, noszą wysokie czapki z owczej skóry i długie chałaty w zgaszonych kolorach. Za Aszchabadem znów zaczyna się piaszczysta równina”.

Ówczesne raporty brytyjskiego wywiadu przedstawiają mniej idylliczny obraz. Przekopałem się przez grube, oprawne w skórę tomiszczą Political and Secret Department zgromadzone w londyńskiej British Library. W 1906 roku armia brytyjska okupowała znajdujący się na południu Afganistan (podczas mojej podróży znalazła się ponownie w tym kraju jako część sił NATO, które obaliły talibów) i w obawie przed inwazją dokładnie obserwowała wojskową aktywność Rosjan.

W Aszchabadzie jak w wielu rejonach Imperium Rosyjskiego panował chaos. W oazie odkryto dużą fabrykę bomb prowadzoną przez ormiańskich rewolucjonistów. Dwa tygodnie przed przybyciem Mannerheima zbuntowały się bataliony strzelców. „Sytuacja w rosyjskiej Azji Środkowej najwyraźniej znów się zaostrza – zaczyna się brytyjski raport. – Miasta są niebezpieczne, szerzą się morderstwa i grabieże, żołnierze podobno wszędzie się buntują. Było wiele prób wykolejenia i grabienia pociągów...” <sup>[79]</sup>. Niepokoje trwały miesiącami, doszło do próby zamachu na gubernatora „w trakcie jawnego posiedzenia sądu”. „Z doniesień z Aszchabadu wynika, że nadal wybuchają tam poważne zamieszki i panuje niesubordynacja” – głosiła depecha z listopada 1906 roku <sup>[80]</sup>.

Mimo tego zamętu podróz, jaką Mannerheim odbył kolejną z Aszchabadu do Buchary w dzisiejszym Uzbekistanie, przebiegła zaskakująco spokojnie. Chciałem pojechać jego śladami samochodem, ale mój agent turystyczny uniemożliwił mi jego wynajęcie, dodając do trasy nieznaną miejscowość o nazwie Darwaza. Nie mogłem jej nigdzie znaleźć na mapie

między Aszchabadem a Bucharą. Kiedy w końcu ustaliłem, gdzie leży, zacząłem błagać Tatianę o zmianę oficjalnie ustalonej trasy.

– Wykluczone – burknęła. – Zdenerwowałeś władze.

\* \* \*

– Jesteś odporny? – zapytała Zamina, moja nowa opiekunka. Tatiana najwyraźniej się mną zmęczyła.

– Dlaczego pytasz?

– To będzie bardzo uciążliwa podróż, w niewiarygodnym upale. Nie mamy klimatyzacji.

Na niewiele by się zdała. Rozpadający się pojazd nie miał nawet bocznych szyb. Był to brudny żółty UAZ-469, terenowy dżip wyprodukowany dla Armii Radzieckiej w latach siedemdziesiątych. Tylko czarny płócienny dach chronił nas przed rozpalonym słońcem najgorętszej pustyni Azji Środkowej w najgorętszym miesiącu roku. „Nie lubimy lata w naszym kraju – powiedział mi hotelowy recepcjonista. – Boimy się go”.

Kierowcą był pomarszczony, żylasty Rosjanin, Siergiej. Zamina, niska, pulchna Azerka, nosiła podrabiane okulary słoneczne Chanel, ubrana była w różowy top i czarne spodnie od dresu. Gdy po południu wyruszyliśmy, temperatura przekraczała pięćdziesiąt stopni. Cel naszej podróży znajdował się w odległości dwustu sześćdziesięciu kilometrów na północ od Aszchabadu, w sercu pustyni Karakum. Darwazę zwano „wrotami piekieł”.

Droga wiodła z początku wśród pól bawełny, mijaliśmy przedziałnie, winnice i pola kukurydzy, ale szybko ich miejsce zajął żwir i piasek. Na szosie było niewiele aut. W powietrzu unosiło się tyle piasku, że nie potrafiłem rozróżnić, gdzie na horyzoncie kończy się ziemia i zaczyna niebo. Suchy, pełen kurzu wiatr wiał mi w twarz przez całe pięć godzin. Mniej więcej w połowie drogi minęliśmy wojskowy punkt kontrolny i maleńką oazę Bahardok. Wokół lepianek i jurt, w wymarłym krajobrazie snuły się czarne owce i wielbłądy. Żwirowa równina przeszła niebawem w ocean wydm. Fale piasku zachodziły na popękany, rozpadający się asfalt. W pewnym momencie minęliśmy spychacze, wywrotki i równiarki usiłujące odbudować część zniszczonej drogi. „Ta południowa część jest w najlepszym stanie” – zauważyła Zamina, przepowiadając trudy, jakie nas dalej czekały.

Usiadłem z tyłu, pod siedzenie wciśnięte były kanistry z benzyną, a w puste panele drzwi upchnięto butelki z wodą. Dżip stukał jak wiertarka udarowa. Próbowałem czytać *Ruhnama*, ale jest to naiwny pastisz, na który składają się pseudoreligijne wynurzenia, rewizja historii, wspomnienia, porady dietetyczne (nie należy „jeść zachłannie”), apele pozbawione wyrazu – jednym słowem, głędzenie pomyleńca. Utknąłem na stronie 51.

Tuż po ósmej dojechaliśmy do Darwazy. Nie było tu ulic, domów, chodników ani wodociągów. Przy drodze stała tylko samotna jurta i lepianka. W pierwszych dniach czerwca 2004 roku Nijazow, przelatując nad pustynią, skomentował nieatrakcyjny wygląd tej wsi, po czym kazał ją zrównać z ziemią. Po trzech tygodniach przybyło dwustu policjantów i żołnierzy,

k którzy zaczęli siłą usuwać trzystu pięćdziesięciu mieszkańców. „Dali nam godzinę na spakowanie rzeczy – powiedział jeden z poszkodowanych. – Żołnierze zatrzymywali ciężarówki jadące do Aszchabadu, ładowali na nie sprzęty domowe i inny dobytek. Nikt nie protestował, bo ludzie wiedzieli, że na nic się to nie zda”<sup>[81]</sup>.

Zjechaliśmy z szosy na wyjeżdżoną drogę wiodącą na szczyt wzniesienia. Dżip zarzucał na osypującym się piasku. Siergiej jak szalony kręcił kierownicą, żeby nie wpaść w poślizg. Przy zardzewiałym zaworze od gazu wystającym z pustyni skręciliśmy w lewo, poza drogę, na następne wzgórze. W dole u podnóża skalistego wzniesienia wypatrzyłem SUV-a marki Nissan Patrol parkującego przy obozowisku. Należał do przewodnika, który towarzyszył emerytowanemu dziennikarzowi brytyjskiemu z posiwiąłą brodą, o twarzy spieczonej słońcem.

– Dziwny kraj – powiedział Mike, gdy wymienialiśmy uścisk dłoni.

– Rzeczywiście dziwny – przytaknałem. – A to jest najdziwniejsze miejsce.

Razem z Siergiejem zebraliśmy na szczycie wzgórza drewno na opał. Wszędzie tkwiły niewielkie uschnięte krzaki. Ich kruche gałązki łamały się z trzaskiem jak wykałaczki. Siergiej rozpałił ognisko, żeby upiec szaszłyki, a Zamina rozłożyła turkmeński dywan, na którym rozstawiła kolację.

W zapadającym zmierzchu dostrzegłem w zagłębieniu za wzgórzem dziwną pomarańczową poświatę. Poszliśmy z Mikiem zobaczyć, co to takiego. Płonący krater musiał mieć co najmniej sto metrów średnicy i dwadzieścia metrów głębokości. Gdy podeszliśmy bliżej, silny wiatr nawiewał nam w twarz płekący żar i odór gazu ziemnego. Ziemia sucha jak pieprz kruszyła się przy każdym kroku. Ostrożnie zbliżyłem się do skraju krateru, żeby zrobić zdjęcie. Żar był obezwładniający. Skóra na twarzy mi się napięła. Spojrzałem w głąb krateru. Spośród rozżarzonych skał wyskakiwały wielkie płomienie, liżąc nocne powietrze. Naprawdę znalazłem się u wrót piekieł.

Gdy wróciliśmy do obozu, okazało się, że Zemina i Siergiej zdążyli wypić pół litra wódki. Szczerzyli zęby w figlarnym uśmiechu. Podczas kolacji na dywanie Zamina wyjaśniła nam, że krater powstał w 1970 roku wskutek eksplozji w radzieckiej kopalni gazu ziemnego. Zginęło wtedy wielu ludzi. „O tym się nie mówi” – dodała. Opowiedziała też o przesiedleniu mieszkańców Darwazy.

– Czy sądzisz, że wasz prezydent to wariat? – zapytałem po następnym kubku wódki. Mike przysiadł na swoim pośłaniu, żeby usłyszeć odpowiedź.

– Nigdy nie przeniosłabym się do Rosji ani do Azerbejdżanu – zaczęła Zamina identycznie jak przedtem Tatiana. – W Aszchabadzie mogę kupić nowy luksusowy apartament za trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Benzyna jest tania, prąd i telefony za darmo. Jak w komunizmie.

Nie przekonały mnie te wymuszone frazesy. Wiedziałem, że Turkmenistanowi daleko do utopii. W przerośni i dosłownie znajdowałem się u wrót piekła, w zapomnianym przez Boga kraju opanowanym przez zło. O północy, leżąc w śpiworze, wpatrywałem się w mrugające

gwiazdy, wreszcie zasnąłem skąpany w demonicznej poświacie płonącego krateru.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem. Asfalt był tak popękany i pełen dziur, że większość drogi jechaliśmy poboczem. Po pięciu godzinach dotarliśmy na północny skraj pustyni otoczony polami bawełny i starodawnymi ruinami miasta Kunia Urgencz (Köneürgenç), ośrodka cywilizacji muzułmańskiej zniszczonego przez Czyngis-chana. Obejrzeliśmy część dwunastowiecznych ruin, ale dotkliwy upał południa przytłumił mój entuzjazm. Uprzejmie zasugerowałem, żeby jechać dalej, do odległego przejścia granicznego, gdzie bez zbytej wylewności pożegnałem się z Zaminą i Siergiejem.

Powitał mnie młody żołnierz w wyciętym podkoszulku i czapce wojskowej. Wyglądał chłopięco jak nastoletni poborowy, miał duże uszy, jasną cerę i brudne jasne włosy.

– Jesteś Rosjaninem? – zapytałem.

– Jestem Turkmenem – powiedział z naciskiem Sapa, którego imię, jak mi wyjaśnił, znaczy po turkmeńsku „bohater”.

Mówił łamaną angielszczyzną. Pomógł mi wymienić turkmeńskie manaty na uzbeckie somy. Odbyło się to w kawiarence, gdzie kupiłem dwie butelki wody z lodu. O dziwo, pogranicznicy nie przeszukali moich bagaży, a nawet grzecznie zaproponowali mi krzeselko w cieniu. Znaleźli sobie rozrywkę w postaci przewijania zdjęć w moim aparacie.

Najlepiej zapamiętałem z Turkmenistanu nie dziwaczną architekturę, a nawet nie „wrota piekła”, ale ciepłe uśmiechy i przyjazne spojrzenia, z jakimi niespodziewanie się spotykałem, wędrując po bazarach i fotografując. Nawet młodzi rangą policjanci, kiedy spędzałem noc na posterunku, pozdrawiali mnie słowami *salam alejkum* (pokój z tobą), przykładając prawą rękę do serca. Po tym geście zawsze następował przyjacielski uścisk dłoni i serdeczny uśmiech.

– Masz jakieś gazety po angielsku? – zapytał Sapa, kiedy szliśmy do ostatniego punktu kontrolnego na granicy.

– Niestety, nie.

Gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu jego przełożonych, Sapa cicho poprosił o mój adres e-mailowy. W mrocznym delirium Turkmenistanu, represyjnego państwa, gdzie internet jest zakazany, a kontakt z cudzoziemcami budzi podejrzenia, Sapa dowiódł tym z pozorów niewinnym, a w istocie bohaterskim czynem, że w pełni zasłużył na swoje imię.

---

**Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki**

---



# Przypisy

## EURAZJA

- [22] J. Conrad, *Tajny agent*, tłum. A. Glinczanka, *Dzieła wybrane*, t. III, PIW, Warszawa 1987, s. 472.
- [23] W. Laqueur, *A History of Terrorism*, Little, Brown, New York 1997, s. 12.
- [24] Tamże.
- [25] N. Ferguson, *The War of the World: Twentieth-Century Conflict and the Descent of the West*, Penguin, New York 2006, s. 73.
- [26] W. Laqueur, dz. cyt., s. 34.
- [27] C.G. Mannerheim, *Memoirs of Marshal Mannerheim*, tłum. E. Lewenhaupt, E.P. Dutton and Co., New York 1954, s. 22.
- [28] A. Marshall, *Russian Military Intelligence, 1905–1917: The Untold Story behind Tsarist Russia in the First World War*, „War in History” 2004, 11, no. 4, s. 394.
- [29] Cytowane w: tenże, *The Russian General Staff and Asia, 1800–1917*, Routledge, London 2006, s. 102.
- [30] H. Halén, *Mannerheim and Military Intelligence in China 1906–1900*, [w:] Timo Vihavainen (red.), *Mannerheim: An Officer of the Imperial Russian Army, Marshal of Independent Finland*, St. Petersburg Foundation of Finland, Helsinki 2005, s. 72–73. Także C.G. Mannerheim, *Preliminary Report on the Journey Undertaken by Imperial Order Across Chinese Turkestan and the Northern Provinces of China to Peking in 1906–07 and 1908*, [w:] *Collection of Geographical, Topographical and Statistical Materials for Asia 81*, Military Publishing House, St. Petersburg 1909, s. 1. (Oryginał w języku rosyjskim przetłumaczyli dla autora Eric Walberg i Anatolij Korotiejew).
- [31] C.G. Mannerheim, *Memoirs...*, dz. cyt., s. 27.
- [32] Tamże, s. 234.
- [33] Tamże, s. 6.
- [34] R. Lehmusoksa, R. Lehmusoksa, *Dining with Marshal Mannerheim*, Ajatus Kirjat, Helsinki 2005, s. 89.
- [35] S. Jägerskiöld, *Den unge Mannerheim*, H. Schildt, Helsinki 1964, s. 64.
- [36] P. Rodzianko, *Mannerheim: An Intimate Picture of a Great Soldier and Statesman*, Jarrolds, London 1940, s. 31.
- [37] Tamże, s. 43.
- [38] S. Jägerskiöld, *Mannerheim: Marshal of Finland*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1987, s. 7.
- [39] Tamże, s. 33.
- [40] J.E.O. Screen, *Mannerheim: The Years of Preparation*, University of British Columbia Press, Vancouver 1993, s. 33.
- [41] O. Figes, *Tragedia narodu: rewolucja rosyjska 1891–1924*, tłum. B. Hrycak, Wydawnictwo Dolnośląskie, Poznań–Wrocław 2009, s. 138.
- [42] W.B. Lincoln, *Sunlight at Midnight: St. Petersburg and the Rise of Modern Russia*, Basic Books, New York 2000, s. 189–192.
- [43] O. Figes, dz. cyt., s. 44.
- [44] Cytowane w: M. Rintala, *Four Finns: Political Profiles*, University of California Press, Berkeley, CA 1969, s. 27.
- [45] P. Baker, S. Glasser, *Kremlin Rising: Vladimir Putin's Russia and the End of Revolution*, Scribner, New York 2005, s. 252.
- [46] Katalog wystawy *Mannerheim: An Officer of the Imperial Russian Army, Marshal of Independent Finland*, s. 4–5.
- [47] Cytowane w: R. Lehmusoksa, R. Lehmusoksa, dz. cyt., s. 64.
- [48] Tamże, s. 89.
- [49] O. Figes, dz. cyt., s. 208 i 226.
- [50] S. Jägerskiöld, *Mannerheim...*, dz. cyt., s. 12.
- [51] Cytowane w: T. Vihavainen (red.), *Mannerheim: An Officer of the Imperial Russian Army, Marshal of Independent Finland*,

- [52] C.G. Mannerheim, list do ojca, 27 lipca 1907 roku, Urumczy, National Archives of Finland, list nr 209.
- [53] Tenże, *Memoirs...*, dz. cyt., s. 28.
- [54] S. Jägerskiöld, *Gustaf Mannerheim, 1906–1917*, Albert Bonniers Förlag, Helsinki 1965, s. 22. Zob. też H. Halén, *Mannerheim and the French Expedition of Paul Pelliot*, [w:] Peter Zieme (red.), *Aspects of Research into Central Asian Buddhism: In Memoriam Kōgi Kudara*, Brepols Publishers, Turnhout 2008, s. 46.
- [55] P. Sandberg, *Mannerheim the Photographer*, [w:] *Handbook of Conference & Field Investigation: The International Symposium for the Study of Mannerheim's Journey to Xinjiang & Field Investigation*, sympozjum zorganizowane przez Research Centre for China's Borderland History and Geography i Helsinki University, 28 września 2006 roku, s. 5.
- [56] R.W. Tolf, *The Russian Rockefellers: The Saga of the Nobel Family and the Russian Oil Industry*, Hoover Institution Press, Stanford 1976, s. 61.
- [57] O. Figes, *Tragedia narodu: rewolucja rosyjska 1891–1924*, tłum. B. Hrycak, Wydawnictwo Dolnośląskie, Poznań–Wrocław 2009, s. 247.
- [58] J.D. Henry, *Baku: An Eventful History*, Archibald Constable & Co., London 1906, s. 3.
- [59] U.S. Department of Energy, *Azerbaijan: Country Analysis Briefs*, Washington, DC: U.S. Department of Energy, sierpień 2006 roku, <http://eia.doe.gov>.
- [60] D. Yergin, *The Prize: The Epic Quest for Oil, Money and Power*, Simon & Schuster, New York 1991, s. 131.
- [61] E. Bey, *Blood and Oil in the Orient*, Simon & Schuster, New York 1932, s. 42.
- [62] T. Reiss, *Orientalista*, tłum. D. Kosińska, Świat Książki, Warszawa 2007, s. 40.
- [63] J.D. Henry, dz. cyt., s. 3.
- [64] L. Villari, *The Fire and Sword in the Caucasus*, T.F. Unwin, London 1906, s. 181.
- [65] R.W. Tolf, dz. cyt., s. 100.
- [66] Ch. Marvin, *The Region of The Eternal Fire*, W.H. Allen and Co., London 1884, s. 283–307.
- [67] Tamże, s. 283.
- [68] R.W. Tolf, dz. cyt., s. 97.
- [69] J.D. Henry, *Oil Fuel and The Empire*, Bradbury–Agnew, London 1908, s. 6.
- [70] C.G. Mannerheim, *Memoirs of Marshal Mannerheim*, tłum. E. Lewenhaupt, E.P. Dutton and Co., New York 1954, s. 110.
- [71] Ch. Marvin, dz. cyt., s. 304.
- [72] T.L. Friedman, *The First Law of Petropolitics*, „Foreign Policy” 2006, maj–czerwiec, [http://www.foreignpolicy.com/articles/2006/04/25/the\\_first-law\\_of\\_petropolitics](http://www.foreignpolicy.com/articles/2006/04/25/the_first-law_of_petropolitics) (data dostępu: 30 grudnia 2009 roku).
- [73] K. Said, *Ali i Nino*, tłum. J.S. Zauss, Świat Książki, Warszawa 2004, s. 210.
- [74] Tamże, s. 170.
- [75] Global Witness, *It's a Gas: Funny Business in the Turkmen-Ukraine Gas Trade*, Global Witness, London 2006.
- [76] M. Steyn, *One-Man Stan: Saparmurat Niyazov (1940–2006)*, „The Atlantic Monthly”, styczeń 2007 roku, <http://www.Theatlantic.com/doc/200703/steyn-niyazov> (data dostępu: 30 grudnia 2009 roku).
- [77] Cytowane w: P. Hopkirk, *The Great Game: The Struggle for Empire in Central Asia*, Kodansha International, New York 1990, s. 406–407.
- [78] P. Theroux, *The Golden Man: Saparmurat Niyazov's Reign of Insanity*, „The New Yorker”, 28 maja 2007 roku, s. 54–65.
- [79] Indian Office Records, Political and Secret Department, British Library, *Memorandum of information received during the month of July 1906, regarding affairs on and beyond the North-West Frontier of India*.
- [80] Tamże.
- [81] Zob. charakterystykę Turkmenistanu na stronie Internal Displacement Monitoring Centre: [www.internal-displacement.org](http://www.internal-displacement.org), data dostępu: 25 stycznia 2010 roku.



Wydawnictwo Akademickie  
DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel.: +48 22 620 32 11, +48 22 654 01 49

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

Biuro handlowe : 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks: +48 22 620 87 03

e-mail: [biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl](mailto:biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl)

[www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

Serie Wydawnictwa Akademickiego DIALOG:

## Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

- Języki Orientalne
- Języki Azji i Afryki
- Literatury Orientalne
- Skarby Orientu
- Teatr Orientu
- Życie po Japońsku
- Sztuka Orientu
- Dzieje Orientu
- Podróże–Kraje–Ludzie
- Świat Orientu
- Historia/Polityka
- Mądrość Orientu
- Współczesna Afryka i Azja
- Vicus. Studia Agraria
- Orientalia Polona
- Philologia Orientalis
- Literatura Okresu Transformacji
- Literatura Frankofońska
- Być Kobietą
- Temat Dnia
- Wieczory z Nauką
- Życie Codzienne w...

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową